

Ostrzeżenie! Czasopismo zawiera wulgarne słowa oraz nieprzyzwoite, a nawet antyrządowe i przeciwkościelne treści.

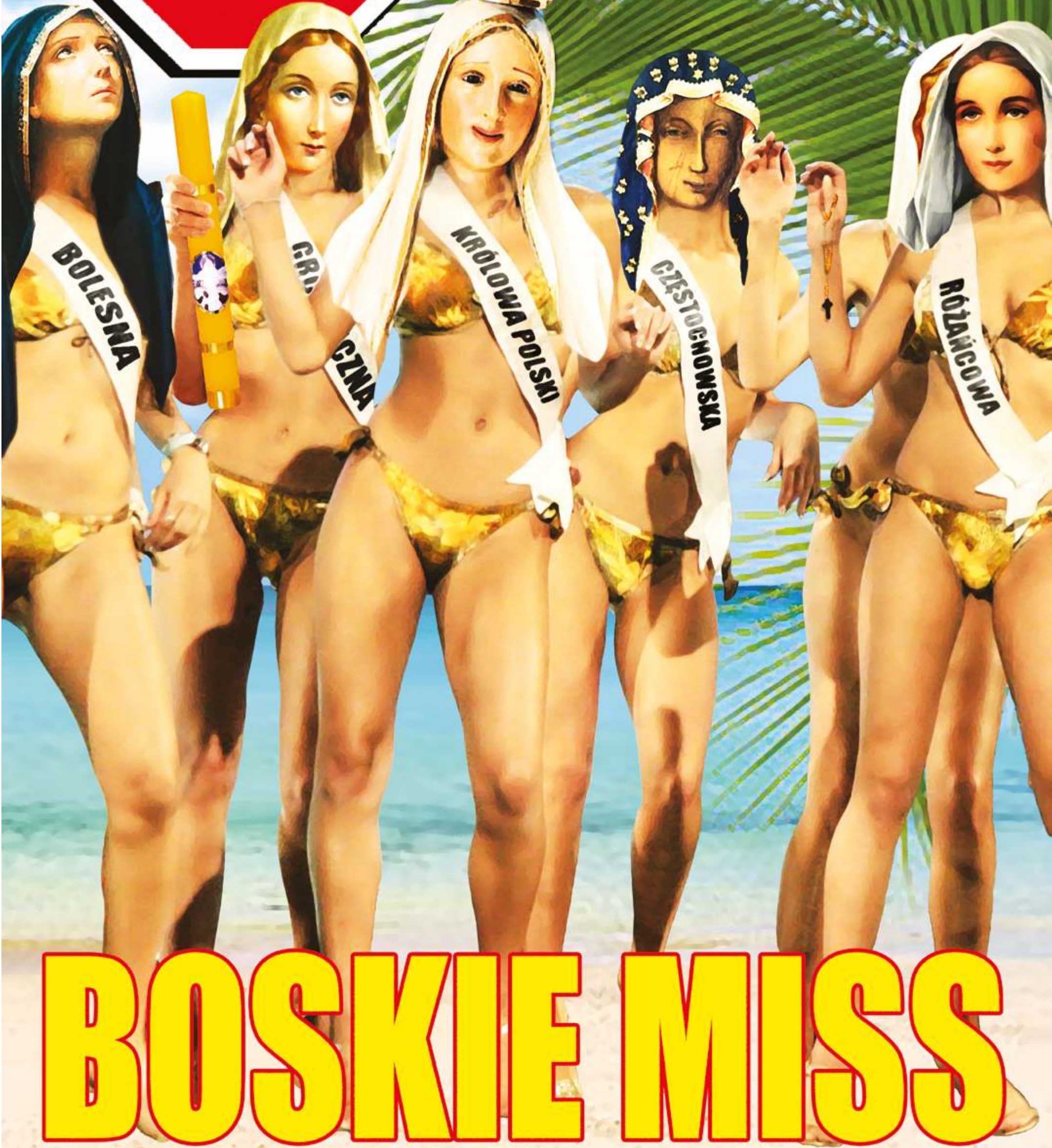
CENA 7,90 zł w tym 8% VAT NR 35 (1771) 30 sierpnia-5 września 2024

nr indeksu 367125 ISSN 0867-2237



Nie oddamy wam
Telewizji Trwam!

str. 13



BOSKIE MISS



nie@redakcja.nie.com.pl

www.tygodniknie.pl

 Tygodnik NIE

 Tygodnik NIE

Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

WOJNA DOMOWA

♦ Rząd pochwalili się budżetem. Premier osobiście ogłosił, że wojna wymusza zmiany struktury wydatków i zmianę proporcji, toteż czeka nas wielki wysiłek, od którego nie ma odwrotu, po czym radośnie poinformował, że w przyszłym roku wydamy na zbrojenia blisko 190 miliardów. Na zdrowie – dla porównania – 220 mld zł. Czy ktoś mógłby wytłumaczyć prezesowi Rady Ministrów, że Rzeczpospolita Polska nie jest obecnie w stanie wojny z nikim? Bo może mu umknęło, że wojna toczy się nie w Polsce, tylko za granicą, więc być może zrównywanie wydatków na leczenie 38 mln obywateli z wydatkami na zabawki do strzelania jest nadmierną hojnością wobec koncernów zbrojeniowych, głównie amerykańskich? Na dość kluczowe pytanie, kosztem czego odbędzie się to podniesienie wydatków na MON do absolutnie rekordowego poziomu, odpowiedział w TVN24 marszałek Hołownia: kosztem naszych wyrzeczeń. A czego konkretnie pan marszałek się wyrzeknie?

♦ Prezydent Duda wyznaczył neosędziego do prowadzenia zgromadzenia, które wybierze nowego prezesa Izby Cywilnej Sądu Najwyższego. Aktualna prezesica, skądinąd też neosędzia, nie może go poprowadzić, bo kandyduje, więc prezydent musiał wyznaczyć zastępcę; potrzebował od tego jednak kontrasygnaty premiera. Zaskakująco, kontrasygnatę tę uzyskał, co wprawiło sędziowski antypis w palpitację. Donald Tusk postanowił wziąć byka za rogi i ogłosił, że to pomyłka, acz oczywiście nie jego. Zadaniem premiera jest podpisywanie setek dokumentów, czasami kilkadziesiąt dziennie, no i tak się złożyło, że urzędnik odpowiedzialny za przygotowanie do podpisywania nie dostrzegł polityczności dokumentu. Po czym wepchnął pod pociąg przewodniczącego Komitetu Stałego RM, min. Berka. Berek to jest ten bezstronny urzędnik państwowy, który ostatnio chodzi po mediach i krzyczy na PKW, że ma natychmiast zabrać PiS-owi subwencję i więcej o nic nie pytać. Jest też doktorem prawa. Jak sądzicie: jaka jest szansa, że Berek naprawdę nie wiedział, że wskazanie sędziego przez prezydenta Dudę może być kwestią polityczną?

♦ A skoro się zgadzało o PKW: niestety, choć cykl wydawniczy tygodnika „NIE” jest wyjątkowo krótki – zamykamy numer w środę, w kioskach jesteśmy w piątek – PKW złośliwie wyznaczyła posiedzenie w sprawie sprawozdania PiS na czwartek. Toteż kiedy piszemy ten tekst, jeszcze nie wiemy tego, co Państwo będziecie wiedzieć, czytając. Wiemy natomiast, czego domaga się obóz władzy. Na Campusie Rafała Trzaskowskiego wystąpił duet Joński-Szczerba z prezentacją o tym, ile PiS przekreślił państwową kasę na wybory. Żeby nie było wątpliwości: oczywiście przekreślił. Pytanie brzmi, czy da się go za to ukarać na bazie obowiązujących przepisów, czy też zostały one napisane tak, żeby władza mogła doić budżet w kampanii (oraz czy nowa władza coś z tym zrobi, czy też będzie korzystać z przywileju). Posłowie Joński ze Szczerbą nie zawracali sobie głowy zawiłościami prawnymi i wprost poinformowali PKW, że ludzie nie rozumieją, jeśli sprawozdanie PiS nie zostanie odrzucone. Ale skoro już przy tym jesteśmy: ile razy słyszeliśmy, że Campus Polska Przyszłości nie ma nic wspólnego z platformerską agitacją; że jest miejscem, gdzie młodzi mogą dyskutować o przyszłości swojego kraju? Tak tylko pytamy...

♦ Odbity się spotkanie liderów koalicji. Uzgodniony komunikat stanowił, że było bardzo dobre i owocne. Z chóru wyłamał się szef Kancelarii Premiera Jan Grabiec, który wezwał koalicjantów do szeregu: Nie wiem, czy na spory w koalicji nie jest trochę za wcześnie, bo to jest trochę jak pokonaniu komunizmu w 1989, kiedy część obozu solidarnościowego uznała, że to czas na to, żeby budować kompletną odrębność polityczną, identyfikację ideową, bardzo wiele partii – i skończyło się tym, że ta komuna do władzy wróciła. Minister Grabiec miał wtedy lat 19, więc mógł już odnotować, że komuna wróciła do władzy nie dlatego, że Wałęsa się pożarł z Mazowieckim, tylko dlatego, że obydwaj chujowo rządili i ludzima marnie się żyło. Co powinno być niejaka lekcją dla obecnej koalicji zajmującej się głównie polowaniami na poprzedników.

♦ Rozesłano list gończy za Michałem Kuczmierowskim, byłym szefem Rządowej Agencji Rezerw Strategicznych, któremu prokuratura zarzuca branie udziału w zorganizowanej grupie przestępczej oraz przekroczenie uprawnień i niedopełnienie obowiązków w celu osiągnięcia korzyści majątkowej. Generalnie chodzi o to, że za PiS RARS dawała nieprzychylnie zarabiać młodzieńcowi nazwiskiem Szopa, który wyróżnił się tym, że założył se markę odzieży patriotycznej Red is Bad i sprzedawał orzelki oraz zbrodniarzy wyklepanych na koszulkach. Chyba nie sprzedawały się nadmiernie dobrze, bo Szopa przerzucił się na agregaty prądotwórcze, które kupił w Chinach za niespełna 69 mln zł, a sprzedał ojczyźnie za 282 mln zł. W sumie nakręcił takich geszeftów za pół dużej bańki. Nowoczesny patriotyzm.

AWŁ

Z URNY BLAGIERA URBANA

BLOG WSZYSTKICH ŚWIĘTYCH

Maj 2012 r.

Świętej Gizeli

Umarła moja druga żona.
Trzecia, obecna, aż nadto żywa, jest nieposkromioną adoratorką Rosji, jej poezji, pieśni rewolucyjnych, marszowych i błatnych oraz ludzi. Czule więc z tarasu naszego pokoju w hotelu Le Maquis w Porticcio (Korsyka) obserwowała rosyjską rodzinę na plaży. On chorobliwie gruby, ale też wielki, żona stosownie wychudzona. Nastoletnia córka, nostalgiczka w okularach, i druga – kilkuletnia tańcząca na rękach i koziółkująca do tyłu. Wyraźnie szykowana do kariery baletowej, a nawet cyrkowej.
Kiedy innego dnia Rosjanie śniadali na tarasie, żona, tj. Daniszewska, podeszła do nich wdzięczyć się po rosyjsku. Gruby odpowiedział uprzejmie, ale bez zachęty. Odtąd rosyjskiej rodziny nie było widać. Chociaż mieszkala trzy schodki nad plażą, nawet córki nie wychodziły nad morze. Kelnerzy nosili im wszystkie posiłki do pokoju. Raz tylko z wnętrza wychynęła na ich taras owłosiona łapa, dźgnęła bułkę ze stojącego tam koszyka i cofnęła się do wnętrza.
Przed wyjazdem chcieliśmy obejrzeć pokoje zajmowane przez Rosjan z myślą o następnym urlopie. Recepcjonistka próbowała połączyć z nimi panią Daniszewską, ale nikt nie podnosił słuchawki.
– Od pięciu dni nie odbierają telefonów ani nie wychodzą z apartamentu – wyjaśniła hotelarka. Boję się żony i w tym lęku nie jestem osamotniony. Jednak nie wygląda ona aż tak groźnie, żeby przebywająca nad morzem rodzina samouwieżyła się w pokoju, bo jakaś bestia zagadła do nich po rosyjsku. Nasuwa się przypuszczenie, że natknęliśmy się na ruskiego mafioso ukrywającego się na Korsyce, który do-

szedł do wniosku, że został wytropiony przez agentkę. Czyja? On tylko może to podejrzenie skonkretyzować.

Świętej Luizy

Po powrocie do Polski liczne uroczystości. 80. urodziny pierwszej żony. Pogrzeb drugiej żony. 38. rocznica porodu wykonanego przez trzecią żonę. Trzecie urodziny pudła Azora.
W życiu publicznym walka redaktorów z senackim projektem nowego prawa prasowego, który ma przewidywać, że komu tylko prasa dołoży, ten ma prawo publikować dwa razy tyle riposty. Prasa wyje, że gazety wypełnione zostaną przez urzędnicze wypracowania, a w telewizji riposty wyprą reklamy. Projekt senatu, wspierany przez pierwszego prezesa Sądu Najwyższego, stanowi reakcję klasy politycznej i wymiaru sprawiedliwości na mediowładztwo. Klasa polityczna nie rozumie, że to nie media przejęły władzę, tylko władze państwa mediom ją przekazały, podporządkowując wszystkie swoje posunięcia regule, że ważne jest wyłącznie to, co zyskało rozgłos. Tylko zdarzenia eksponowane medialnie społeczeństwo uznaje za ważne. Samo nie wyłania rzeczy istotnych dla ludzi. W ten sposób demokracja to rządy dziennikarzy.
Ponury marszałek senatu zwany Borsukiem zapewnił, że spór skończy się kompromisem. Strony jeszcze nie wiedzą, że jest on gotowy. 28 lat temu reprezentowałem premiera w ze-spole przygotowywującym prawo prasowe. Z pewnymi poprawkami ważne jest ono do dziś. W zakresie będącym przedmiotem awantury (sprostowania) zostało ono dobrze wyważone i jakoś działa.

À propos prawa. W minio-ny wtorek prawnicowy dziennikarz Janke, współrozmówca red. Tomasza Wołka, powiedział, że Janukowycz (prezydent Ukrainy) jest gangsterem, co stanowi zelżenie głowy obcego państwa. Za to samo przestępstwo zostałem z oskarżenia prokuratora skazany, mianowicie za zelżenie władcy Watykanu, choć nie napisałem, że Jan Paweł II jest gangsterem, ale trzęsącym się starcem. Co odpowiadało rzeczywistości. Prokuratorzy, do dzieła, mamy równość wobec prawa! A ono nie mówi, że są lepsze i gorsze głowy państw, więc te drugie wolno obrażać. Zresztą sprawdzimy raz jeszcze. Chuj w dupę Gauckowi!

Świętej Solange

W internecie podano, że aresztowano dileramarihuany. I że dokonano tego w Maciejewie, gdzie bywa Urban. Rzeczywiście 20 lat temu dwukrotnie nocowałem w prowadzonym tam hotelu. Nie wiem, czy to mnie obciąża marihuaną, czy dileram Urbanem. Jeżeli dilerowi dołożą w wyroku za Urbana, informuję, że rok temu dwakroć plugawiłem obecnością ulicę, na której PiS ma partyjną centralę. Raz nawet na ulicę wystawiono tam wtedy Fotyge, żeby ozdobić nią trotuara. Byłem też ongiś stałym bywalcem pałacu Belweder, który Komorowscy zagarnęli jako swoją chatę. No ale ci to się niczego nie brzydzą. Skaziłem też gmaszysko Tuska. Z tego budynku przez osiem lat wznicałem nienawiść narodu. Notabene badania opinii publicznej z 1986 r. pokazywały podobne wskaźniki aprobaty i dezaprobaty Urbana, jakie dziś ma Tusk. U Tuska to się nazywa spadek popularności, w moim wypadku – „nienawiść całego narodu polskiego”. □

Waldek
(pisownia oryginalna)

PRASA ŚNIADANIOWA

- **Jarosław Kaczyński** stwierdził, że kandydat PiS-u na prezydenta powinien być młody, wysoki, okazały, przystojny, znający języki i obyty międzynarodowo. Trzeba im będzie Trzaskowskiego pożyczyc.
- **Posel Zbigniew Kuźmiuk** powiedział, że zamiast laptopów dla uczniów będą podpaski i tampony. A to mieli laptopy nosić w majtkach?
- **Barbara Nowacka** obiecała katechetom pomoc w przekwalifikowaniu się. Katechetów można wysłać do głodujących dzieci w Afryce.
- Z okazji Dnia Psa **Pałac Prezydencki** zachęca do selfie z pupilem. Niestety, Pałac nie zamieścił zdjęć ze swoim Burkiem.
- **Portal Fronda.pl** przypomniał, że Matka Boska osobiście poprosiła, żeby nazywać Ją Królową Polski. – Tu jej ekscelencja, jutro dzień wolny, zarządzam święto państwowo.
- Na terenie **sanktuarium Matki Bożej Myślenickiej** splonął Bentley. Niech się dzieje wola nieba, z nią się zawsze zgadza trzeba.

MARTA M.



Rys. TOMASZ WATIER

LISTONOSZ DONIOŚŁ

Szanowna Redakcjo!

Lubię czytać „NIE”, ale zrobię wreszcie porządek z tym knajackim stylem, bo wstyd kupować waszą gazetę. Ostatnio to już był szczyt wszystkiego, gdy w kiosku usłyszałem: Kasia podaj klientowi tę gazetę dla meneli! Pytam dlaczego dla meneli, ona pokazuje napis na pierwszej stronie, że jest to gazeta z wulgaryzmami, więc jest to gazeta pornograficzna i tylko menele ją kupują. A do tego jeszcze okładki ze świętymi tak jakby nie było innych obrazków. Powiem wam, że czuję się zawstydzony kupując „NIE”, bo gdy kupuję inne gazety, to kioskarki nawet nie spojrzą, a przy „NIE” gapią się jak sroki w gnat. Mnie to wszystko wisi, ale nie czuję się za dobrze, kiedy stoję przed kioskiem, pytam o „NIE” i wszyscy się na mnie gapią. Zaczniście być wreszcie normalni tak, żebym nie musiał wstydić się za was. No i tych podśmiechujących z papieża też bym sobie darował, bo papież dla wielu jest naprawdę święty. Co tu dużo kryć. Nie dość, że strzelacie sobie w kolano, to jeszcze narażacie czytelników na wredne komentarze kioskarek. To tyle. Amen

Z.K.

Wielce Szanowna Pani Redaktor!

Niestety nadszedł moment, że jeden artykuł dosłownie wyprowadził mnie z równowagi i musiałem napisać swoje zdanie. Chodzi o artykuł Pana Roberta Jarugi z nr. 34 „Człowiek nadziei”. Mowa w nim o języku Esperanto i jego twórcy. Nie chodzi nawet o to, że autor artykułu krytycznie ocenia sam język i ideę ruchu esperanckiego, każdy ma prawo mieć swoje zdanie i trzeba to uszanować. Ale jest tam tyle błędnych informacji, półprawd, zakłamań i bredni, że aż trudno uwierzyć, że napisał to znany i ceniony redaktor poczytnego i ciekawego tygodnika, a nie leniwy uczeń, który nawet nie pofatygował się sprawdzić tego w internecie. (...) Posłużę się jednym przykładem i zacytuję: *Esperanto nie ma kultury. Wprawdzie przetłumaczono na nie Biblię, Torę i „Ojcie Nasz” ale oryginalnie napisano w nim tylko cztery książki*. Bzdura! Żeby nie być gołosłownym proponuję odwiedzić stronę: <https://katalogo.uea.org>, to jest katalog książek które można zamówić w księgarni wysyłkowej prowadzonej przez Światowy Związek Esperantystów w Rotterdamie (sam zamówiłem ostatnio 6 pozycji). Otóż sprawdziłem, że

aktualnie mają w sprzedaży 518 tytułów prozy napisanej oryginalnie (zaznaczam: tytułów, nie egzemplarzy) oraz 419 tytułów poezji oryginalnej, a także 2518 tytułów tłumaczeń prozy i poezji. Oprócz tego mają mnóstwo innych wydawnictw np. nauka i technika – 342, książki dla dzieci, wydawnictwa muzyczne, płyty, kasety itp. Na zarzut autora artykułu, że Esperanto to język prymitywny przytoczę taki przykład: Antoni Grabowski przetłumaczył „Pana Tadeusza” A. Mickiewicza zachowując 13-zgłoskowiec i wszystkie rymy, a na inne języki tłumaczenia są prozą.

Ponieważ z zawodu jestem nauczycielem, proponuję autorowi poprawkę w postaci napisania nowego rzetelnego artykułu opartego na rzetelnych informacjach.

Z poważaniem
Wiesław Stanicki, Łochów

Szanowni państwo redaktorzy!

Od czasu do czasu kupuję „NIE”, bo jest to jedyne pismo satyryczne w naszym coraz śmieszniejszym kraju. Niestety, bywam zniechęcony Waszym natrętnym eksponowaniem Chrystusa w pozach wprawdzie nikomu niewłaściwych, ale trafiających w czyjeś poglądy, na przykład poglądy mojej żony, która do kościoła nie chodzi, ale tradycyjnie podchodzi do religii. Nie do wiary, ale do religii, a w związku z tym takie antyreligijne natręctwo wydaje się jej jako coś niesmacznego, mimo że Chrystus jako kulturysta wygląda całkiem dobrze. Tylko że dobry wygląd to nie wszystko. Nie wiem, czy takie natręctwo antyreligijne zwiększa nakład „NIE”, ale wątpię, bo połowa naszych rodaków, która nie chodzi do kościoła ma jednak jakiś „genetyczny” szacunek do religii, a wobec tego na pewno nie kupią pisma, w którym bez przerwy czyta się o pedofilach w sutannach i o innych tego rodzaju wyczynach. To już się znudziło, chyba że jest jakiś reportaż z konkretnej parafii krytykujący jakiegoś proboszcza. Zamiast wiadomości z kruchty powinno się pisać o wiadomościach z MSZ. Byłoby o czym pisać satyrycznie, ale Wy tylko pilnujecie tego śmiesznego grajdółka i tego, że Kowalski z PiS-u przeszedł do PO. O rany jaka sensacja! To tyle, ale i tak będę was czytał, chociaż bez emocji.

Waldek

(pisownia oryginalna)

Dajcie spokój z fentanylem. Gorszy jest lek na kaszel.

Epika, liryka i, kurwa, dramat

Kilka miesięcy temu gruchnęła w Polsce medialna bomba – redakcje zaczęły bić na alarm, wzbudzając powszechną panikę. Ogromne nagłówki na pierwszych stronach gazet i pierwsza informacja we wszelkich serwisach informacyjnych. Pojawił się w Polsce nowy narkotyk zombie. Kiedy padła nazwa tego potwora – fentanyl – narkomanom opadły ręce. Ćpająca społeczność nie wiedziała, czy ma halucynacje, czy może redakторы się czegoś naćpali i cofnęli o kilkadziesiąt lat.

Bo to, że redaktorzy bywają na haju, wie niemal każdy ćpun, który ogląda programy publicystyczne z udziałem komentatorów z różnych redakcji. Widać, kto czym się wspomógł przed wejściem do studia. Kto wciągnął kreskę, kto wziął kilka buchów heroiny albo zjadł w kiblu garść tabletek z kodeiną.

To wszystko jest w oczach i specyficznych gestach. Pociąganie nosa w obawie, że zostały białe ślady po proszku, dyskretne drapanie po kodeinie, bo zachodzi reakcja histaminowa, charakterystyczny błogostan po heroinie. Duże źrenice po koksie lub innym wciągany nosem proszku; malutkie jak szpileczki po opiatkach.

Więcej nie zdradzę, bo stracimy ubaw podczas oglądania dyskusji o problemach Polski, relacjach międzynarodowych czy geopolityce, prowadzonych przez grupę poważnych, kompletnie naćpanych i, o zgrozo, bardzo wpływowych ludzi. Choć z drugiej strony – nawet jeśli to przeczytają, wymienionych odruchów raczej nie dadzą rady opanować. Może przez jakiś czas będą się bardziej kontrolować i rzadziej pocierać nos, może kupią sobie krople z atropiny do oczu... Nie wiem, czy przypadkiem nie podpowiedziałem im sposobu, ale jeśli by im zależało, znaleźliby go w internecie. To będzie jednak działało tylko przez chwilę, odruchy są bezwarunkowe, narkomani wykonują je nieświadomie. Po prostu to jeden ze stałych i najbardziej charakterystycznych objawów brania.

Dla zachowania dziennikarskiej rzetelności napiszę, że trafiają się programy – czy w telewizji, czy na YouTube – gdzie zjawisko to nie występuje. Ale jest ich niewiele, bo do większości stacji zapraszani są ciagle ci sami ludzie. I ci właśnie ludzie jako redaktorzy ponownie wymyślili koło – czyli ten straszny fentanyl w Polsce. Widzom i czytelnikom przypomniano zdjęcia rosyjskich narkomanów uzależnionych od tzw. krokodyla. Strach ogarnął rodziców nastolatów, ludzie z przerażeniem patrzyli na młodzież.

Dobry stary fentanyl

Tymczasem ten rzekomo nowy narkotyk zombie funkcjonuje w polskim środowisku narkomanów od pół wieku, a jego sprzedaż w ostatnich latach wcale nie wzrosła.

W latach 70. lekarze wypisywali na to recepty, traktując jako skuteczny lek przeciwbólowy – sprzedawany był w ampułkach. Dzieci kwiaty zasmakowały w substancji, fentanyl okazał się bardzo fajny, dobrze wchodził w żyłę i był mocniejszy od trudno dostępnej heroiny; tyle tylko, że krócej działał.

O dziwo, znam kilku ćpunów, którzy już w latach 70. dawali fentanyl po kablach – czyli wstrzykiwali w żyłę – i wbrew wszelkim prawom ustanowionym przez polskie redakcje wciąż żyją. Niektórzy nawet ze sprawnym umysłem. Ludzie po sześćdziesiątce, starsi panowie, o których nikt nigdy by nie pomyślał, że mogą wiedzieć cokolwiek o ćpaniu.

Jednego poznałem podczas mojego ostatniego pobytu na lubelskim detoksie. 66 lat, prezencja statecznego emeryta, który uczciwie przepracował życie w jakimś zakładzie, a teraz rekreacyjnie uprawia działkę lub siedzi z innymi na ławeczce pod blokiem (ten akurat jest na słynnym zdjęciu pod tytułem „Hippisi PRL-u”). Uzależnieni 20-latkowie, gdyby się przysiedli na ławeczkę, poznaliby sposób produkcji najróżniejszych narkotyków w najprostszymi, domowych warunkach. Ale po pierwsze, młodzi patrzą z góry na starców – coś taki może wiedzieć o ćpaniu? A po drugie, nie wiem, jakich argumentów musieliby użyć, żeby tamci zdradzili im, jak z gałki muszkatolowej czy roślin z okolicznych ogródków działkowych ugotować tak zwaną zupe, makiwarę: narkotyk niesamowicie przyjemny i proporcjonalnie trudny do odstawienia. Dawni narkomani, nawet jeśli wciąż coś zażywają, to mają zasady i niezbyt chętnie dzielą się wiedzą, żeby nie rozszerzać problemu. Choć z drugiej strony, dużo

zdrowiej byłoby zażywać narkotyki wyprodukowane z naturalnych składników niż obecne we współczesnym obrocie syntetyki.

Do 2015 r. można było kupić fentanyl w sklepach z dopalaczami, głównie tych internetowych. Od oryginalnej substancji różnił się jedną nieistotną cząsteczką, neutralnym wypełniaczem, którego brak czynił fentanyl legalnym. Różnica była też w nazwie. Trudno sobie wszystkie przypomnieć: np. butylofentanyl, furanylfentanyl czy popularna wśród narkomanów U-47, która działała tak samo, ale fentanylem nie była. Butylofentanyl sprzedawano w rozcieńczeniu, czyli z domieszką neutralnej substancji, żeby był trochę słabszy.

Od lat popularne są plastry i atomizery z fentanylem. Plastry gotowane w odpowiednim roztworze oddzielają substancję od reszty; niektórzy ją palą, inni łykają, jeszcze inni wstrzykują. Niemal każdy ćpun w RP ma z tym kontakt. Wszelkie narkotyki kupowane na ulicy mają dodatek fentanylu. Nawet pozornie niegroźna trawka nie jest tym, co rośnie na krzaku i zawiera dobre stare THC. To syntetycznie wyprodukowana szyszka, wyglądająca niemal idealnie, do tego dodany aromat prawdziwej gandy, ale głównym składnikiem jest albo HHC, albo HHCPO czy H4CBD. Konieczność z dodatkiem fentanylu – żeby lepiej klepało i ewentualnie żeby uzależnić.

Trwa to już od lat. Ostatnio w USA wrosła liczba zgonów po fentanylu – ale dlatego, że dodano do niego nowy składnik. Akurat tej mieszaniki w Polsce nie ma.

Dzieciaki na skrócie

Problem leży gdzie indziej. W aptekach.

I od razu rozprawmy się z jednym mitem: nie, dilerzy nie rozdają dzieciakom w szkołach narkotyków za darmo; to się nie opłaca, a i tak jest ogromny popyt. Poza tym ryzyko handlu przy szkole jest bardzo duże, nie tylko ze względu na policję, ale innych dilerów i narkomanów (bardzo często diler jest jednocześnie uzależniony). Gdy rozejdzie się wieść, że ktoś sprzedaje dzieciakom, ma muirowany wpierdol, i to taki, że odechciewa mu się dalszej dilerki. A jeden przykład wystarczy, żeby wystraszyć pozostałych.

Ale po co w szkole diler, skoro za rogiem jest apteka. Gdy przechodzę obok takiej położonej blisko apteki szkoły średniej, niekiedy nawet podstawówki, zawsze widzę w ulicznym koszu na śmieci opakowania po Thiocodinie. Jest to lek na kaszel, choć jeszcze nie słyshałem, żeby kupował go ktoś, kto ma kaszel. A jednak jest jednym z najlepiej sprzedających się medykamentów bez recepty. Substancja, którą zawiera, jest równie groźna jak heroina i tak samo szybko uzależnia. Jest w tabletkach i w syropie, ale syrop słabiej działa. Od kilku lat w Polsce jest ograniczenie sprzedaży Thiocodinu do jednego opakowania. Ale niesieciowa rodzinna apteka obok szkoły sprzedaje nawet dziesięć opakowań jednemu klientowi. Wiem, bo sam byłem klientem takich aptek.

W opakowaniu jest 10 (kiedyś było 20) tabletek Thiocodinu; w każdej jest 15 mg kodeiny. To bardzo przyjemny w odczuciu, ale naprawdę bardzo niebezpieczny narkotyk z rodziny opioidów. Jeśli uczeń podczas lekcji ciągle się drapie po twarzy, nogach, ma malutkie źrenice, to nauczyciel powinien mieć takiego dzieciaka na oku i przeprowadzić rozmowę z rodzicami.

Niezależnie, czy ktoś wbija sobie igłę i wstrzykuje heroinę, czy połyka Thiocodin – od tego samego się uzależnia. Ci, którzy łykają tabletki, są przekonani, że skoro nie dają w żyłę i kupili je w aptece, to nie są narkomanami i uzależnienie im nie grozi. Złudzenie mija, gdy policja odwiedzi właściciela apteki i zacznie się schody. Trzeba chodzić od apteki do apteki i kupować po jednym opakowaniu. Po kilku tygodniach tolerancja tak wzrasta, że trzeba zjeść już nie 10 czy 20, ale 60 tabletek. I to kilka razy dziennie, bo skutek trwa jakieś pół godziny do godziny.

Kiedy kieszonkowe się skończy albo pani w aptece odmówi sprzedaży, zaczyna się skręt. Tego uczucia nie da się rzetelnie opisać – to jakby depresję podnieść do potęgi i jeszcze przełożyć z mózgu na organizm. Boli nawet to, czego nie ma. Bolą włosy, paznokcie, powietrze, poduszka.

Palpitacje serca podczas pukania do drzwi, stan przedzawałowy na dźwięk telefonu, problemy gastryczne, zaburzony błędnik i czas, który nagle się zatrzymuje. Mijające w głowie godziny to na zegarze sekundy. Próbuje znaleźć właściwe słowa od 10 lat i tak naprawdę jedynie w niewielkim stopniu nakreśliłem to, co my, narkomani, nazywamy skrętem.

Jeszcze gorszy jest skręt po benzodiazepinach takich jak Relanium, Clonazepam, Xanax; boli tak samo, ale trwa nie dwa tygodnie, a dwa, trzy miesiące. I poczucie, że to się nigdy nie skończy. Wielu ludziom udaje się odstawić benzodiazepiny. Leczone się pregabalina, która jest równie uzależniająca, a skręt podobno jeszcze gorszy. Jedną z jej nazw handlowych brzmi Liryca. Gdy tylko to zobaczyłem, samo ułożyło mi się w głowie – epika, liryka i, kurwa, dramat.

Wróćmy do dzieciaka, który nagle został odcięty od leku na kaszel. Nie wie, co się z nim dzieje, nie wie, jak to nazwać, ma normalnego skręta, ale nawet nie wie, że coś takiego jest. W desperacji zaczyna szukać rozwiązań w necie. Tam dowiaduje się, że zamiast leku w aptece może sobie kupić oksy, majkę, pestkę na lokalnym bajzlu, czyli miejscu sprzedaży substancji wszelakich. Znajdzie nawet namiary na bajzel w swoim mieście. Jeśli tam trafi, to już po nim.

Bardzo ważne święto w mojej religii

To tutaj jest problem: w tych dzieciakach, które zaczynają od jednego z najsilniejszych i najbardziej uzależniających narkotyków, kupowanego legalnie w aptece. Na to należy najpierw zwrócić uwagę. To jest prawdziwy problem. Nie fentanyl.

I ten problem nie kończy się na Thiocodinie. Groźny jest również Acatar czy Sudafed – niby bezpieczne leki, ale po prostej syntezie wychodzi fajny narkotyk. Ma jednak ogromną wadę: po kilku miesiącach regularnego brania młody człowiek staje się warzywem. Nie jest w stanie samodzielnie się poruszać, mówić. I jest to nieodwracalne, nie da się nawet zaleczyć. Ten młody człowiek już nigdy nie będzie biegał, chodził, normalnie rozmawiał. To efekt nadmanganianu potasu dodawanego do tej syntezy – choroba manganowa. Widziałem takich uzależnionych wielu, zbyt wielu i chociaż sam próbowałem tego specyfiku – efekt jest naprawdę fajny – to po tym, co zobaczyłem, odechciało mi się na amen. Widok jednego z młodych chłopaków po zaledwie kilku miesiącach używania wstrząsał mną tym bardziej, kiedy uświadomiłem sobie, że poznałem go – jeszcze zupełnie sprawnego – niewiele wcześniej, podczas jednego z licznych moich pobytów na lubelskim detoksie.

Problemem też są lekarze, którzy w pełni świadomie sprzedają recepty na wszystko, co tam tylko sobie pan diler lub narkoman zażyczy. Majkę, czyli morfinę w tabletkach, metadon, nową gwiazdą jest oksykodon. O tym leku szerzej napiszę w kolejnym artykule, bo jest to nowość na polskim rynku. Gdy jeszcze byłem czynnym miłośnikiem opiatów, znałem go tylko z amerykańskich filmów, teraz przyszedł do nas prosto z USA. Jak Coca-Cola, Marlboro i kapitalizm. Tabletki na czarnym rynku kosztuje średnio 50 zł. Jest duży popyt, więc – jak to w kapitalizmie – znalazła się również podaż.

Gdy dostajemy namiar od kumpla ćpuna, rozmowa telefoniczna z doktorem wygląda mniej więcej tak:

– Chciałbym się umówić na wizytę, potrzebuję recept na dosyć silne leki. Czy możemy umówić się na jutro?

– Niestety, jutro jest święto – odpowiada lekarz.

– Ale przecież jutro jest środa, nie ma żadnego święta państwowego czy kościelnego... – dziwimy się.

– W religii mojego obrządku jest to bardzo ważne święto, ale rozumiem, że ból może być bardzo uciążliwy, więc za podwójną stawkę byłbym skłonny zrobić wyjątek i otworzyć gabinet...

Tak się dzwoni do lekarzy poleconych przez innych narkomanów. Zamknięty krąg wtajemniczonych.

Ciąg dalszy nastąpi...

PIOTR JASTRZĘBSKI,
współpraca MICHAŁ WISZOWATY



Nowa definicja gwałtu to prawny bubel, który przyniesie ofiarom więcej problemów niż korzyści

Brak zgody plus

Optymistyczna narracja o rewolucyjnej zmianie, jaką wprowadzi przetasowana definicja zgwałcenia, okazuje się niewarta funta kłaków. *Ta nowelizacja jest tak „popsuta”, że bardziej już się nie dało. Muszę jednak przyznać, że napisanie zmiany treści przepisu w taki sposób, że nie wpłynie ona na jego stosowanie w praktyce, to jednak wyższy kunszt prawniczy* – napisała w swoich social mediach Agata Bzdyn, radczyni prawna, prawniczka w Europejskim Trybunale Praw Człowieka w latach 2012–2016. Co więcej, nie jest ona odosobniona w swojej opinii. W podobnym tonie wypowiedzieli się Joanna Gzyra-Iskandar z fundacji Feminoteka i radca prawny Adam Kuczyński, założyciel Fundacji Przeciw Kulturze Gwałtu, który w sądach reprezentuje skrzywdzone kobiety. Niestety, stanowiska osób i organizacji – które w pełni popierały cele projektu, ale wyrażały krytyczne zastrzeżenia na jego redakcję i próbowały zgłaszać inne rozwiązania – w pracach

nad nowelizacją nie tylko pominięto, ale i zrobiono z nich idiotów.

28 czerwca 2024 r. sejm przegłosował projekt nowelizacji Kodeksu karnego zmieniający prawną kwalifikację gwałtu. W głosowaniu nad zmianą wzięło udział 426 posłów. Za było 335 osób, przeciw – 44, wstrzymało się 47. Andrzej Duda zmianę klepnął, przepisy wejdą w życie za pół roku. Autorką projektu jest prawniczka Danuta Wawrowska, a przedstawicielką wnioskodawczyń – posłanka KO, Lewicy i Trzeciej Drogi – Anita Kucharska-Dziedzic. Jedną przez drugą odrzuciły sukces, choć nowe brzmienie przepisów przyjętych przez sejm nie tylko nie wyczerpuje w pełni postanowień Konwencji Stambulskiej, lecz wręcz może być interpretowane na niekorzyść osób pokrzywdzonych.

W słusznie postulowanej zmianie definicji zgwałcenia chodziło o to, by podjęcie czynności seksualnej było legalne jedynie wtedy, kiedy druga osoba wyrazi na tę czynność zgodę. Proste i logiczne – zdawałoby się – założenie, rozjechało się jak pijany na lodowisku. W nowym brzmieniu art. 197 Kk wygląda tak: *kto doprowadza inną osobę do obcowania płciowego przemocą, groźbą bezprawną, podstępem lub w inny sposób mimo braku jej zgody, podlega karze pozbawienia wolności od lat 2 do lat 15*. Czyli jak zwrócił uwagę Kuczyński, utrzymano dotychczasowe brzmienie przepisu, dodając brak zgody. Dzięki temu wątpliwej jakości zabiegowi powstały nowe warunki, które muszą zaistnieć, by stwierdzić, że do zgwałcenia doszło: przemoc, podstęp, groźba i brak zgody. Krótko mówiąc, prokurator będzie musiał nie tylko wykazać, że ofiara nie wyrażała zgody na aktywność seksualną, ale jeszcze ustalić, że do niechcianego stosunku doszło w wyniku jednej z trzech wymienionych przesłanek. Jeśli ofiara jest sparalizowana ze strachu i sprawca nie musi stosować któregoś z tych sposobów, to w zasadzie nic nielegalnego się nie dzieje. Dodatkowo, jak zwróciła uwagę Joanna Gzyra-Iskandar, Konwencja Stambulska mówi po prostu o braku zgody (podczas prac senackich nad ustawą karnistka prof. Monika Płatek zaproponowała, by w kodeksie zapisać krótko

i bez dodatkowych zastrzeżeń, że kto obcuje płciowo z inną osobą bez jej zgody, podlega karze – wniosek jednak padł).

Gdy przepis zawiera sformułowanie w inny sposób mimo braku zgody, wydaje się, że musi stać się jeszcze coś oprócz braku przyzwolenia na seks. Innymi słowy, sam brak zgody może nie być wystarczający do tego, żeby uznać dane zdarzenie za gwałt.

Co gorsza, to nie koniec defilady absurdów. Zrewitalizowany artykuł 197 stoi w kolizji z artykułem 200, który dotyczy obcowania płciowego z osobą poniżej 15. roku życia. Artykuł ten stanowił o sytuacji, gdy do ruchania i jego pochodnych doszło bez znamion przemocy, podstępu lub groźby. W momencie, gdy w artykule 197 pojawił się słynny brak zgody, każde obcowanie płciowe z osobą, która nie ma ukończonych 15 lat, podpada pod ten przepis, bo taka osoba w sensie prawnym nie może wyrazić zgody na takie czynności. Komisja senacka zaproponowała rekomendowaną przez rzeczniczkę praw dziecka Monikę Hornę-Cieślak poprawkę, która uporządkowałaby ten bajzel, lecz została ona odrzucona. Agata Bzdyn zaalarmowała również, że nowe przepisy uchwalone przez sejm wciąż utrzymują zróżnicowanie odpowiedzialności karnej



w zależności od tego, czy pokrzywdzoną jest osoba z niepełnosprawnością intelektualną, czy wykorzystano wobec niej stosunek zależności. W praktyce oznacza to tyle, że zgwałcenie osoby z niepełnosprawnością umysłową jest zagrożone niższą karą niż osoby zdrowej. To jawna dyskryminacja, w związku z czym przepis jest wprost niezgodny z Konwencją Stambulską.

Gdy na przełomie czerwca i lipca, czyli jeszcze podczas procedowania nowelizacji ustawy przez senat, eksperci zwracali uwagę na nieścisłości i zawiłości nowych przepisów, posłanka Anita Kucharska-Dziedzic zrobiła z nich wiatrak. *Pojawia się dużo nieprawdziwych informacji na temat zmian w Kodeksie karnym. Chciałabym niektóre sprostować* – napisała na platformie X i wrzuciła dla upierdliwych tumanów kilka grafik okraszonych swoim zdjęciem. *Co się zmieni? Przepisy oparte na koncepcji zgody będą w końcu zgodne z Konwencją Stambulską. Zniesienie „domniemania zgody” (czyli osoba sparalizowana strachem, nie będzie musiała tłumaczyć, dlaczego nie drapała i nie krzyczała). Przed zmianą, według statystyk na siedem kobiet, które zgłoszą zgwałcenie, czterzy z nich były odsyłane przez policję, bo nie było znamion przemocy. To realna zmiana. Zmiana, którą wywalczyliśmy!* – paradnie broniła swojej koncepcji Kucharska-Dziedzic.

Na Facebooku pani posłanka szła dalej w zaparte, pozostając głuchą i ślepą na argumenty prawników. *Przecinki mają znaczenie, ich brak również. To kluczowa wiedza, którą zdobyli senatorki i senatorowie podczas obrad nad zmianą definicji zgwałcenia w Kodeksie karnym. Pojawił się bowiem zarzut, że posłanki i posłowie nie zrozumieli, nad czym głosowali, bo zgoda miała rzekomo wcale nie zostać wpisana do art.*

197. (...) Padła też propozycja, by zmienić czasownik. Facebookowe ekspertki pisały, że im językowo źle to brzmi... no cóż. „Doprowadzić” to jedno z tych magicznych słów, które w Kodeksie karnym pojawia się bardzo często i nie przez przypadek, i nie dlatego, że się kodyfikatorom spodobało brzmienie. „Doprowadza” zostanie, choćby tłumy w socialach zrobiły referendum – napisała, robiąc idiotów z krytykujących prawny bubel.

Niestety, pani posłanka mija się z prawdą. Informacje o tym, że uchwalona przez sejm nowelizacja nie realizuje założenia, że „tylko »tak« oznacza zgodę”, są realne i wynikają również ze szczegółowej analizy standardu orzecznictwa Europejskiego Trybunału Praw Człowieka, art. 36 Konwencji Stambulskiej i opinii GREVIO (Grupy Ekspertów do spraw Przeciwdziałania Przemocy wobec Kobiet i Przemocy Domowej – niezależnego organu monitorującego przestrzeganie praw człowieka, któremu powierzono kontrolę wdrażania Konwencji Rady Europy o zapobieganiu i zwalczaniu przemocy wobec kobiet i przemocy domowej właśnie). Wszystko zatem wskazuje na to, że – za przeproszeniem – hasłem „tylko »tak« oznacza zgodę” wytarto sobie polityczne mordy, a cała ustawa jest dobra PR-owo dla polityków, lecz nie dla ofiar. I żadne dyrdymały wypisywane protekcyjnym tonem na poselskich socialach tego nie zmieniają. Adam Kuczyński wyraził obawę, że wraz z uchwaleniem ustawy temat uregulowań prawnych dotyczących przemocy seksualnej został zamknięty na lata. Ze smutkiem pozostaje się z nim zgodzić, ale dla polityków to nie problem – chodziło przecież o huk, a nie o zająka.

IDALIA DUBICKA

Odwaga Tuska

A nie mówiliśmy?

Do następnych wyborów większości w tym parlamencie dla legalnej aborcji w pełnym tego słowa znaczeniu nie będzie. Nie ma się co oszukiwać – wyznał Donald Tusk podczas odbywającej się 23–28 sierpnia w Olsztynie czwartej edycji Campusu Polska Przyszłości. To bardzo odważne słowa premiera, zważywszy na narastający w damskiej części populacji wkurw.

Tyle że my wiedzieliśmy o tym co najmniej od wyborów.

Po 15 października, w tekście „Tęcza w czarnej dupie” („NIE”, nr 43/2023), napisałam, że realizacja postulatów tak głośno artykułowanych podczas kampanii – aborcji, równości małżeńskiej, uzgodnienia płci, mowy nienawiści – może napotkać na poważne trudności, a nawet okazać się niemożliwa. Wówczas jednak na fali powyborczego hurraoptymizmu Donald Tusk nie wahał się

obiecywać ich realizacji nawet w sto dni. Trudno uwierzyć, że nie wiedział o trudnościach, jakie może napotkać. Czyżby zapominał, że w Pałacu Prezydenckim wciąż gnieździ się długopis Wielkiego Kurdupla? Czyżby nie znał przekonań Kosiniaka-Kamysza i jego kumpli?

Należy docenić obecną odwagę premiera. Powiedzieć elektoratowi, że jego żądań realizować się nie da, to jest jednak dla polityka akt odwagi. Tyle że był na to czas 10 miesięcy temu. A te 10 miesięcy można było wykorzystać na przygotowanie elektoratu na rozczarowanie (zamiast obiecywania mu gruszek na wierzbie w sto dni). I na pracę edukacyjną w ramach koalicji, by jednak te sprawy w końcu udało się załatwić. Nie w sto dni, ale na przykład po pozbyciu się Dudy.

Dziś u tych, którzy nie bacząc na zdrowy rozsądek, obietnice Tuska przyjęli za dobrą

monetę, słowa premiera muszą budzić i rozgoryczenie, i poczucie zawodu. A tak szczerze: wkurwu. Wkurwione są aktywistki proaborcyjne, wkurwiony chodzi cały aktywny elektorat LGBT z przyległościami – oni wszyscy mieli nadzieję, że ich postulaty naprawdę zostaną szybko załatwione.

Jest spora szansa, że ten wkurw obróci się nie przeciwko Dudzie i PSL-owi, lecz właśnie przeciwko temu, kto naobiecował, a teraz mówi, że się nie da. A to z kolei może się źle przełożyć na wyniki kolejnych wyborów.

Wszelkiej maści aktywiści mają to do siebie, że nie zawsze myślą politycznie i umieją kalkulować. Bywają za to roszczeniowi, natarczywi i agresywni. To jest czasem potrzebne, a czasem całkiem wprost przeciwnie. O ile roszczeniowość, natarczywość i agresja były na miejscu wtedy, kiedy trzeba było spowodować w ogóle uwzględnienie postulatów kobiet i środowisk LGBT w działaniach nowego rządu, o tyle jest całkiem nie na miejscu teraz, bo rzeczywiste warunki do szybkiego spełnienia tych żądań nie ma. Naciski na premiera, KO i Lewicę nie dadzą niczego poza tym, że zaowocują ewentualnym osłabieniem ciepłych uczuć elektoratu do tych sił koalicyjnych. Niepotrzebnym, bo wynikającym jedynie z niezrozumienia sytuacji i zaciętrzewienia.

Wybrzmiało to z wystąpienia Włodzimierza Czarzastego, który także był gościem Campusu Polska Przyszłości. Mówił, że Lewica będzie walczyć i nie odpuszczy. Bardzo pięknie mówił. Tylko że przez 10 miesięcy Lewica nie zrobiła w tych sprawach jakoś specjalnie dużo, a jej działania można określić raczej jako chaotyczne i rachityczne. No, ale lepiej późno niż wcale.

A premier... cóż, może powinien zacząć czytać „NIE”? Przynajmniej wiedziałby już w październiku zeszłego roku to, do czego sam doszedł dopiero teraz.

EDYTA BAKER

Już za kilka dni po raz 35. zagonią szkolną dziatwę w objęcia katechety

Zagoni na dwie lekcje religii tygodniowo, choć w grudniu szefowa MEN Barbara Nowacka zapowiadała ograniczenie lekcji religii do jednej godziny płatnej z budżetu państwa i doprowadzenie do tego, żeby oceny z religii nie były liczone do średniej na świadectwach i w ogóle się na nich nie pojawiały. Oczywiście dzieciarnia, która dostała w czerwcu świadectwa, zobaczyła na nich religię. A szkoły średnie, które przyjmowały młódz m.in. na podstawie średniej ocen, wciąż premiowały tych uczniów, którym dobrze układały się stosunki z katechetami.

Dać Kościołowi palec...

Księża, zakonnice i inni katecheci powitali dzieciarnię po raz pierwszy w murach szkolnych w roku szkolnym 1990/91. Młódz zawdzięczała tę nowość nie jakiemuś tam zawodowemu kuriewnemu bywalcowi, ale człowiekowi na wskroś zlaicyzowanemu, ba, komuchowi z 25-letnim stażem w PZPR – Henrykowi Samsonowiczowi. Trzeba przyznać, że poszło mu szybko i gładko. Instrukcję wpuszczającą sukienkowych do państwowych szkół podpisał raptem 30 sierpnia. Biorąc pod uwagę, że szkół są dziesiątki tysięcy, trzeba przyznać, że sprawność Kościoła była imponująca. W ciągu czterech dni zajął upatrzone przyczółki i rozpoczął okopywanie się.

Pierwszy szturm odparł już w kilka miesięcy później. Ówczesna rzecznik praw obywatelskich Ewa Łętowska uznała bowiem, że zarówno sposób wprowadzenia, jak i sama obecność katechezy w szkołach publicznych są nieszczerólnie zgodne z prawem, i poskarżyła się Trybunałowi Konstytucyjnemu. Nie z Kościołem jednak takie numery. Nie po to trybunał obsadzono ludźmi związanymi z hierarchią, żeby werdykt był inny niż taki, że przepisy nie zostały naruszone. Najciekawsze, że Trybunał wykazał zgodność katechezy z obowiązującym podówczas prawem PRL. Mało tego, sędziowie wywiedli nawet, iż katecheza nie została wprowadzona do szkół jako instytucji, a jedynie do budynków szkolnych.

W 1992 r. ministrem edukacji narodowej był jak najbardziej przykościelny Andrzej Stelmachowski. Umyślił sobie, że religię w szkołach umocuje w prawie jeszcze mocniej. Wydał „Rozporządzenie w sprawie warunków i sposobu organizowania nauki religii w publicznych przedszkolach i szkołach”. Na takie coś zagotował się robiący w tym czasie za rzecznika praw obywatelskich Tadeusz Zieliński. W jego mniemaniu edykt Stelmachowskiego łamał konstytucyjną świeckość państwa. Trybunał Konstytucyjny pozwolił sobie skargę rzecznika wyśmiać.

Swoją rolę w dospawaniu religii w szkołach do polskiego prawa ma też oczywiście konkordat, ale kwestię pozamiatała na amen konstytucja. Jej art. 53 § 4 brzmi: *Religia kościoła lub innego związku wyznaniowego o uregulowanej sytuacji prawnej może być przedmiotem nauczania w szkole, przy czym nie może być naruszona wolność sumienia i religii innych osób*. Jak jednak komuś wydaje się, że użyte słowo „może” otwiera drogę do ustawowego wykopywania katechetów ze szkół, to się myli. Wedle konstytucjonalistów należy przez to rozumieć, że jest to przedmiot dla szkół obowiązkowy. A skoro tak, to ewentualne wycofanie religii ze szkół wymaga zmiany konstytucji.

Równolegle z osadzaniem się w prawie Kościół pracował nad poszerzeniem przyczółków. Zaczęło się od drobniagów, takich jak wyznaczanie osób nauczających religię przez struktury kościelne. Efekt jest taki, że dziś jedyne i decydujące zdanie o tym, czy ktoś będzie, czy nie będzie uczył religii, ma proboszcz. Dyrekcje szkół nawet nie próbują plebano podskoczyć.

Konkordatowy zapis, że zakres nauczania będzie domeną Kościoła, zaowocował i tym, że religia zajmuje dwie godziny lekcyjne w tygodniu.

Nieostatni dzwonek

Potem przyszła pora na rzecz nader dla Kościoła istotną. Pieniądze. Na początku było bowiem tak, że to Kościół miał płacić katechetom. Biskupi jednak szybko umyśliли, że jak spece od nauczania paciorków pracują na terenie szkoły i robią to, co inni nauczyciele, to znaczy, że są nauczycielami. A skoro tak, to powinna im płacić władza oświatowa. I postulat ten stał się ciałem.

Potem poleciały kolejne koncepcje Kościoła, na których mocy pełnoprawny stał się udział katechetów w obradach rad pedagogicznych. Obligatoryjny jest też udział dzieci i nauczycieli w rekolekcjach. No i takie ustawianie religii w siatce zajęć, aby broń Boże nie były na pierwszych lub ostatnich lekcjach. Oras – rzecz jasna – wliczanie religii do średniej ocen. Ten myk zawdzięczamy bezpośrednio klubowemu koledze dzisiejszej ministrowi edukacji. Face-

zajęcia z niej odbywały się późnym popołudniem lub w innej szkole. Przeszło? Jasne, że przeszło.

A Prezes na to...

Jest jednak coś, co Kościołowi – nawet mimo zblatowania z PiS – się nie udało: matura z religii.

Jak Pan Bóg pozwoli, to w 2021 roku mogłaby już być matura z religii – mówił w 2017 r. biskup Marek Mendyk. Nie wyszło, ale od czego był postawiony na czele MEN bliski biskupom Przemysław Czarnek?

Na początku 2021 r. do resortu edukacji trafił dokument Komisji Episkopatu Polski w sprawie matury z religii. Jak zapowiedział wówczas wice-



Rys. OBYWATEL JANEK

towi, który piastował to stanowisko w rządzie Jarosława Kaczyńskiego. Chodzi oczywiście o Romana Giertycha.

Dzisiejszy bullterier Tuska od rozliczania PiS włączył wtedy stopień z religii do średniej ocen, bo – jak mówił – chciał zwiększyć poważanie dla tego przedmiotu. Wcisnął kit, bo tak naprawdę zrealizował tylko to, czego parę miesięcy wcześniej domagali się od władz IV RP biskupi.

Gdy okazało się, że Kościół – dzięki oddaniu szkół samorządom – ma w nich więcej władzy, niż się spodziewał, doszło do ekspansji na kolejne pola. Tak więc pokombinowano, by etyka była zajęciem mocno dla uczniów niewygodnym. I najlepiej, żeby

minister edukacji Dariusz Piontowski, MEN rozważył pomysł matury z religii. Rozważanie to zaowocowało nawet datą. Pierwszym egzaminem dojrzałości, na którym miała być zdawana matura, był ten w 2024 r.

Pomysł biskupów z religią na maturze nie był jednak nowy. Podnoszono go już za czasów minister Joanny Kluzik-Rostkowskiej z PO. W MEN tłumaczono wtedy, że wprowadzenie matury z religii naruszałoby zasadę rozdziału Kościoła od państwa, bo to egzamin, który może obejmować jedynie te przedmioty, których podstawę programową określa resort edukacji. Oczywiście innego zdania była pisowska minister edukacji Anna Zalewska, która takiego problemu nie widziała; twierdziła, że egzamin ułatwiłby życie osobom, które swoją przyszłość wiążą ze studiowaniem teologii lub chcą iść do seminarium duchownego. Fakt jednak faktem, że ani ona, ani Piontowski, ani nawet Czarnek religii jako przedmiotu maturalnego nie wprowadzili. A to dlatego, że Kaczyński chciał mieć jakąś kartę przetargową w stosunkach z biskupami.

Z tego samego powodu Prezes był też przeciwno innemu z postulatów episkopatu: wprowadzeniu obowiązkowych zajęć z etyki albo religii. Jako pierwsi we wrześniu 2023 r. nakaz wyboru katechezy lub etyki mieli otrzymać uczniowie klas czwartych podstawówek oraz pierwszaki ze szkół średnich. Do 2027 r. obowiązek zdecydowania się na katechezę lub etykę miał być rozszerzany na wszystkie klasy. I choć Czarnek przygotował w 2023 r. stosowne rozporządzenie i jął o nim opowiadać na prawo i lewo, Kaczyński zabronił mu tego wprowadzać. Czarnek przed biskupami wyszedł więc na idiotę, o co dokładnie chodziło prezesowi PiS.

Rzeczywistość postkatechetyczna

Co dzięki wprowadzeniu 34 lata temu religii do szkół osiągnął Kościół? Na pewno spowolnił laicyzację. Fioletowe berety znały przykłady Belgii, gdzie w latach 50. religijność miejscowa była jak

u nas pod koniec komuny, a podczas wizytowania przez Wojtyłę na początku lat 80. nie dość, że były problemy z zebraniem kworum na mszach, to na dodatek media jednym głosem waliły jak w kaczy kuper w poglądy polskiego papieża.

Trzy i pół dekady in-doktrynacji proces dekatolizacji w Polsce osłabił, ale go nie zahamował. O ile

w roku 1990 na niedzielne msze dymało 50,3 proc. katolików, to dziś chodzi na nie mniej niż 30 proc.

Nauczanie religii skutecznie zniechęca również do zosta-

nia zakonnicą czy księdzem.

Na początku lat 90. było ponad 8 tys. alumnów. Teraz jest ich 1690.

Czystym zyskiem Kościoła są pieniądze, jakie państwo wydaje na ponad 30-tysięczną armię nauczających pacierza. Jest to roczny zastrzyk gotówki w wysokości ponad 2 mld zł. Dodajmy do tego przychód z przykościelnych wydawnictw produkujących podręczniki i zeszyty ćwiczeń do religii. Co roku 3,5 mln książek po 35 zł i o połowę mniej zeszytów po dwie dychy. Jak się to sumuje, to kwota robi wrażenie.

Kolejną korzyścią jest to, że dzięki państwowemu i samorządowemu obligowi uczestniczenia w dziesiątkach okolicznościowych mszy, utrzymuje się na nich niezła frekwencja, a co za tym idzie i przychód z tacy. Jeśli dodamy pielgrzymki przed maturą lub innymi egzaminami, to dojdą kolejne miliony złotych.

Niegdyśjsze wciskanie kościelnego kitu, że religia w szkołach spowoduje, że jako społeczeństwo będziemy lepsi, wzbudza dziś wesołość. Czy dzięki temu, że od niemal 35 lat uczy się młodzież, że ma nie kraść i nie zabijać, nasze statystyki przestępczości są niższe niż w ateistycznych Czechach? Czy to, że ktoś chadzał na religię w szkole, powoduje, że nie stosuje antykoncepcji? Niekoniecznie, biorąc pod uwagę, że kobiety rodzą pierwsze dziecko o 10 lat później niż przed ćwierćwieczem. Tak samo jest z czystością przedmażeńską, czy rosnącą od lat liczbą rozwodów. Prikazy kościelne polscy wykatechizowani katolicy mają gdzieś.

Kościół zdaje sobie z tego doskonale sprawę. Nie był i nie jest zainteresowany niewielkimi grupkami nawiedzonych wiernych. Idzie na masowość; miliony bezrozumnie uczestniczące we wszystkich obrządkach. Miliony, z których nieprzerwanie płynie rzeka złotych. I dlatego – mimo zaklęć Nowackiej, że jest inaczej – religii w szkołach na pewno nie odpuści.

Owszem, zgodzi się na pudrowanie rzeczywistości – takie jak odejście od wliczania religii do średniej. Pójdzie na łączenie w grupy zapisanych na religię dzieci, gdy jest ich w klasach ledwie kilkoro, czy nawet zgodzi się na jedną godzinę katechezy w szkołach tygodniowo.

Jednak Kościół nie uczyni tego, bo rząd tak chce, ale dlatego, że tak rodzice, jak i dzieci nie są zainteresowani uczeniem się w szkole paciorków. Statystyki uczniów chodzących na religię tak poleciały na pysk, że Kościołowi pozostało tylko ten fakt zaakceptować. Religia wprowadzona do szkół przez polityków jest więc z nich wykopywana zarówno wbrew biskupom, jak i politykom przez najbardziej demokratyczną formułę demokracji – głosowanie nogami. I na to nic nie poradzi nawet zauroczony czemuś Kościołem PSL.

TADEUSZ JASIŃSKI

MÓZDZEK TYGODNIA

Głębem, jak wiadomo, jest Bartłomiej Ciałżyński z lewicy. Głębem, łgarzem i cwaniakiem, który po złapaniu go za rękę na wykorzystaniu służbowego samochodu i służbowej karty płatniczej do prywatnych celów turystycznych tłumaczy się, że nie wiedział. Ze nie miał świadomości. Ze popełnił błąd. Błąd? Matka cię, beczelny dżbanie, nie nauczyła, że nie wolno nieswoich pieniędzy wydawać na swoje potrzeby?

Ale jeszcze większym głębem jest Włodzimierz Czarzasty, lider lewicy. Bo uważa, że pokazywanie się w towarzystwie podających się do dymisji głaba Ciałżyńskiego świadczy o uczciwości i szybkości podejmowania decyzji w tej partii i w tym rządzie. I że pokajanie się Ciałżyńskiego przyniesie lewicy jakieś punkty – że niby takie wysokie standardy w niej obowiązują.

Pokazywanie się w towarzystwie naciągaczy przynosi tylko wstyd. Uczciwi ludzie powinni się od hochsztaplerów trzymać jak najdalej.



ILUST. KRZYSZTOF OLEJNIK

Nasze i wasze kłamstwa

Czy Polacy naprawdę są bogaci?

Podobno im ktoś bardziej inteligentny, tym częściej i skuteczniej kłamie. Jednak kłamstwo kłamstwu nierówne. Samotna matka, która kłamie, że nie dorabia, żeby wydebić z pomocy społecznej zasiłek – ma do tego pełne moralne prawo, bo robi to w trosce o dzieci; po to, żeby jakoś przetrwać. Równocześnie przedsiębiorca, który kłamie, że wykupił dokładnie te działki, które miały być wyłączone pod budowę autostrady przypadkowo, i że nie otrzymał tej informacji od urzędnika,

któremu posmarował – kłamie podle i powinien się za to smażyć w piekle.

W swojej działalności pomocowej często spotykam się z kłamstwem, bo ludzie, którzy są w trudnej, czasem beznadziejnej sytuacji, chwytają się kłamstwa niczym tonący brzytwy. Nie wiedzą, bo niby skąd mają wiedzieć, że nie jesteśmy – my, społecznicy – częścią tego wrogiego świata, który skazuje słabych na porażkę. Że jesteśmy bezwarunkowo po stronie tonących, a nie tych, którzy ich topią.

Kiedy zdrowy mężczyzna w średnim wieku mówi mi, że jest bezrobotny, to wiadomo, że nie mówi całej prawdy. Bo nawet jeżeli zarejestrował się w urzędzie pracy, przecież z czegoś żyje, a zasiłki dla bezrobotnych są niezwykle rzadkie i nie wystarczają na utrzymanie. W końcu człowiek – widząc, że ja wiem, jak jest – przyznaje, że robi na czarno, bo ma na karku komorników. Trudno jednak uznać taką osobę za „zatrudnioną”, skoro nie



ma żadnych praw, które wynikają z prawa pracy. Mimo, decydując o zasiłku, pracownicy pomocy społecznej biorą pod uwagę dochody, które określają jako pochodzące z pracy dorywczej, czyli podejmowanej bez umowy i bez żadnych praw.

Kobieta samotnie wychowująca dziecko ma pewne ułatwienia w ubieganiu się o lokal komunalny czy zasiłki. Dlatego pracownicy pomocy społecznej drobiazgowo kontrolują, czy aby na pewno kobieta jest samotna. Wystarczy, że jakiś sąsiad doniesie, że z mieszkania wyszedł mężczyzna, a już pojawia się wątpliwość – zwykle przesadzana na niekorzyść kobiety starającej się o pomoc. Czy kiedy próbuje ułożyć sobie życie po nieudanym związku, ale nie jest pewna, czy się uda – ma przyznać, że nie jest już sama? Czy utrzymując, że jest samotną matką, kłamie? Być może, ale to kłamstwo uprawnione, bo musi się jakoś zabezpieczyć; przecież różnie jeszcze może być.

GADMAN

Każdy, kto pamięta rok 1989, pamięta też, że *Ojczyznę kochać trzeba i szanować, nie deptać flagi i nie pluć na godło*. Cokolwiek ironiczny tekst Muńka Staszczaka nieraz recytowano podczas przeróżnych balang, nadając mu przy tym patriotyczny szlif.

Po akcesji do Unii Europejskiej polska gospodarka stale rosła, a wraz z nią polska klasa średnia. Ta bogaciła się i rozrastała. I za rządów PO, i za rządów PiS. Niedawne badania Eurostatu ujawniły, że nawet w czasie pandemii polscy „średniacy” rośli w siłę i dostatek. Nic dziwnego, że to oni nadają teraz trendy w polskich mediach. Spychając na margines problemy kilkunastu procent obywateli polskich żyjących nadal w nędzy.

Polska mistrzem Polski

Bogacący się polscy „średniacy” zapragnęli nobilitacji. Dumi z siebie i swych osiągnięć. Poczucia, że nie są gorsi od „średniaków” z innych państw. Zwłaszcza, że nierzadko europejscy „średniacy” okazali się większymi burakami niż nasi. Okazywało się, że nie znają historii Europy, zwłaszcza Polski. Nie znają bogactwa europejskiej kultury, a polskiej zupełnie.

Francuzi nie wiedzą, kto ich nauczył jedzenia widelcem. Rzadko mówią po angielsku, po polsku nie parlają. Niemcy angielski znają, ale w Polsce nie bywają. Wolą w Portugalii albo w Hiszpanii, choć w Polsce bliżej i taniej.

Polscy „średniacy” zauważyli też, że zagranicznicy, którzy do Polski przybywają, zwłaszcza legalnie, wyrażają gromkie zachwyty nad naszą Ojczyzną. Dziwią się, że u nas czysto jest. Bezpiecznie i ekologicznie, bo dużo zieleni mamy nawet w miastach. Obzerają się

Ojczyznę-Prowizję racz nam zwrócić Panie!

Patriotyzm Plus

polskimi pierogami i schaboszczakami. Chwaląc, że duże porcje i z prawdziwego mięsa. A przecież jeszcze niedawno proponowanie zagranicznikom tych spożytych dań graniczyło z obciachem.

Dziś polska klasa średnia napompuwana jest dumą z Polski, nafaszerowana polską polskością. Polska flaga to niezbędny element dekoracji każdego przydomowego ogródka lub balkonu w bloku. Polska naszej klasy średniej aspiruje do mistrzostwa świata we wszystkich możliwych dyscyplinach. Oczywiście już, że Polska mistrzem Polski jest.

To także oznacza, że teraz nie ma już mowy nie tylko o deptaniu flagi i pluciu na godło. Powszechne w czasach Polski Ludowej żarty z polskości, postawy szyderców z pompacyjnej wizji narodowej historii to teraz czas przeszły dokonany. Dziś nawet w popularnych nadal kabaretach jaj z polskości Polaków robić sobie nie można. Nie wywołują one, jak kiedyś, salw śmiechu, nawet stłumionego rechotku.

Nie ma w tym temacie naszej wspólnoty śmiechu, kategorii znanej z teorii humoru.

Oczywiście nadal można jeździć sobie po polskich politykach, trzeba ciągnąć łacha z polskich księży i tradycyjnie z polskich żon, mężów, teściowych

i teściów. Za wszystko. Nie można tylko łączyć ich śmieszności z ich polskością. Na śmiechu z polskości i swojskości dziś zarobić się nie da. Chyba że w ryja.

Przekręty na patriotów

Modę na polskość w naszej nowej klasie średniej, zwłaszcza tej bez wielkomięskiego inteligentnego rodowodu, pierwsze dostrzegły elity PiS. Zagrały na tych patriotycznych sentymentach. Nie wstydzić się swojej swojskości i prowincjonalności. Wszystko, co dobre, jest polskie. Nawet to spolszczone, jak polski kebab, sajgonki czy pizza na telefon. Pizza dla Piastów dziedzica.

Cwaniacy z PiS wyczuli też rosnący rynek na sprzedaż polskiej dumy i wielkich narodowych projektów. I uruchomili lawinę programów Wielkich Budów Polskiego Patriotyzmu. Przy okazji wygrywali na tym wybory.

Ale czy dziś jeszcze pamiętacie, że patriotyczna władza PiS obiecała polskim obywatelom milion polskich samochodów elektrycznych? Flotę polskich promów morskich. Tysiące polskich kolejowych luxtorped. Polski i gigantyczny Centralny Port Komunikacyjny oraz sieć polskich pociągów dużych prędkości docierających do każdego zakątka naszej Ojczyzny?

A także posterunki polskiej policji w każdej polskiej gminie. Patriotyczne strzelnice w każdym polskim powiecie. Nowe polskie wozy strażackie w każdej polskiej ochotniczej straży pożarnej. Przynajmniej jedną polską dużą elektryczną atomową i kilka mniejszych reaktorów, też polskich.

Obiecano też rozbudowę polskiego wojska do 300-tysięcznej armii wyposażonej w przynajmniej trzy typy najnowszych na świecie czołgów, najdroższych samolotów, helikopterów, transporterów, haubic, rakiet wszelkiego zasięgu.

Narastającą dumę z polskości i poczucie, że Polaków stać na więcej i mogą zadziwić świat, podkręcały liczne, opanowane przez elity PiS propagandowe stowarzyszenia i pronarodowe fundacje. Promowały one polskość i narodową dumę, malując samoloty PLL LOT białą-czerwonymi barwami. Ciesząc przy okazji obywateli In-

donezji, Monako i Chorwacji, którzy brali te samoloty za własne.

Narodowe fundacje kupowały narodowe jachty, samochody, rowery, lotnie ku promocji polskość. Wykupywały polskość sławiące reklamy w zagranicznych mediach. Obiecywały filmy narodowo-patriotyczne w treści i hollywoodzkie w formie, które miały upowszechnić prawdziwą historię Wielkiego Narodu Polskiego.

Oczywiście dumni patriotyczni Polacy nie zobaczyli obiecywanych filmów, samochodów, promów, pociągów, strzelnic i posterunków. Podobnie jak nie zobaczyli list wydatków poniesionych na te obietnice. Wydatków z budżetu naszego państwa albo z dotacji spółek skarbu polskiego państwa.

W Polsce popularne są przekręty na wnuczką, na policjanta wysysającą oszczędności naiwnych emerytów. Elity Zjednoczonej Prawicy zrealizowały nową formę przekrętów – na patriotę, obiecując podatnikom Wielkie Patriotyczne Czyny. A tak naprawdę były to działania polegające na wysysaniu pieniędzy polskich podatników przez cwaniaków grających na patriotyzmie i dumie narodowej milionów polskich obywateli. Zarabiających na prowizjach

z *roznie Komisji Edukacji Narodowej, która będzie ten program akceptować. To ma być program, w którym w różnych elementach będzie wychowanie patriotyczne – tłumaczył tak, że niczego nie wytłumaczył.*

Jedynym konkretem, jaki elity PSL ujawniły, jest chęć utworzenia kanonu obowiązkowych wizyt w miejscach ważnych dla kultury polskiej i dziedzictwa historycznego. Wycieczek dla uczniów szkół podstawowych i ponadpodstawowych. *Założeniem jest, aby były to miejsca, które mogą być powodem do dumy narodowej, a dla najmłodszych także do lokalnego patriotyzmu oraz przywiązania do swojej okolicy. Zarówno mogą to być placówki kultury, zabytki, jak i miejsca mające szczególne walory przyrodnicze czy krajoznawcze (jak Parki Narodowe, pomniki przyrody). Lista miejsc powinna być listą do lokalnego wyboru – napisano w uzasadnieniu projektu ustawy.*

To jest odwiedzanie tych miejsc, to są bohaterowie, autorzy, jest miejsce i dla Ciesławki Miłosza, Władysława Szymborskiej, i dla Henryka Sienkiewicza i Władysława Reymonta. Nie należy nikogo wykluczać. I dla Olgi Tokarczuk, i dla „Dziadów” Adama Mickiewicza. (...) O tym jest ta ustawa – usiłował wyjaśnić wicepremier, lider PSL Kosiniak-Kamysz.

TAK WŁAŚNIE,
MOJE DZIECI,
WYGLĄDAŁA
SZARŻA HUSARI!



i honorariach czerpanych z realizacji gigantycznych, niepotrzebnych lub niemożliwych do realizacji projektów. Na kolejnych patriotycznych misjach, tak cennie pokazanych w komedii Stanisława Barei. Dziś kilku takich patriotów ściganych jest listami gończymi.

PSL uczy kochać i szanować

Przekręty na patriotę jeszcze nie zginęły, skoro my żyjemy. Nadal obietnicami budowy Centralnego Portu Komunikacyjnego mają oobywatele wzbogacać już na nich poseł PiS Hołda i jego nowa partnerka, posłanka Matysiak z partii Razem. Dalej podsuwają takie polityczne opium ludowi otumanianemu obietnicami.

Nie próżnują też ludowcy z PSL. Stąpali do narodowo-patriotycznej licytacji. Zainicjowali własny projekt poselskiej ustawy o wychowaniu patriotycznym. Projekt nie jest jeszcze w pełni gotowy. Ale jego podstawowe założenia patriotów z PSL przekazali mediom. Aby poznać ich przepis na prawego polskiego patriotę. *Wychowanie patriotyczne ma być programem dla szkół, a nie nowym przedmiotem – wyjaśniał mętnie lider PSL Władysław Kosiniak-Kamysz. To ma być program dla szkoły, stwo-*

Można się zatem spodziewać, że elity PSL chcą wychowania nowych polskich patriotów poprzez ich udział w litaniach patriotycznych pielgrzymek do świętych dla polskich patriotów miejsc. Jak zapewne wiece, legislacyjny diabeł tkwi w szczegółach ustawy. W obecnym projekcie nie wiadomo, czy te patriotyczne wycieczki będą dla kandydatów na patriotów płatne. Jeśli tak, to znów bogatym łatwiej będzie zostać oficjalnym patriotą. I to już oburzyło patriotów z lewicy.

Jeśli będą bezpłatne, to mamy kolejny wydatek z już deficytowego budżetu państwa. I to oburzyło patriotów zrównoważonego budżetu.

Nie znamy też wykazu miejsc pielgrzymkowych. I firm, które będą taką edukację patriotyczną obsługiwać. Jeśli okaże się, że w owoch miejscach pielgrzymkowych rządzą władze lokalne zaprzyjaźnione z PSL, będzie to patriotyczny przypadek rzecz jasna. Jeśli organizatorami setek tysięcy takich pielgrzymek zostaną firmy bliskie PSL, będzie to jedynie słusznym patriotycznym wyborem. Ku chwale i dobru Rzeczypospolitej.

PIOTR GADZINOWSKI

Czy kiedy idziemy do banku i kłamiemy o naszych dochodach, żeby dostać kredyt, który pozwoli przetrwać choćby kilka miesięcy dłużej, robimy coś bardzo złego? Niezgodnego z prawem – owszem, ale nie sądzę, żeby zasługiwało na surową ocenę. Tymczasem

ludzi, którzy kłamią i łamią prawo z konieczności, z biedy, z potrzeby życiowej, oceniają ci, którzy nigdy nie stanęli przed podobnymi dylematami. Syci i w pełni wypłacalni

oburzają się nawet na osoby, które nie regulują w terminie rachunków, a zwłaszcza czynszu. W ich drobnomieszczańskiej moralności nie mieści się niewypłacalność – a przecież większość z nas nie ma liczących się oszczędności, tylko długi i z trudem się wyrabiamy.

Dlaczego tym, którym się udało, tak łatwo jest rzucać kamieniem? Bo uwierzyli we własne dość rozpowszechnione kłamstwo, że Polacy są bogaci. W tej optyce ci, którzy mają kłopoty finansowe, jawią się jako podejrzeni i niemoralni. Media pełne są takich propagandowych kłamstw w stylu tytułów prasowych: „Polacy inwestują w nieruchomości w Hiszpanii”. Entuzjaści naszego cudu gospodarczego lubią też obwieszczać, że przybyło nam miliarderów. Dużo rzadziej pojawia się jednak informacja o tym, że gdy ogół obywateli się składa na owe miliardy, jednocześnie rośnie rozwarstwienie.

Ludzie zalegający z czynszem, potrzebujący zasiłków, wkręceni w pętlę zadłużenia po prostu nie pasują do urzędowego kłamstwa, że jest dobrze. I chcąc się ratować, często kłamią. Kłamią, żeby przetrwać. Choćby jeden dzień dłużej. I ja ich rozgrzeszam.

PIOTR IKONOWICZ

Słodka szesnastka

Od zasady, że związek małżeński mogą zawrzeć osoby pełnoletnie, jest jeden zgniły wyjątek.

Podczas gdy politycy i opinia publiczna rozszarpują truchło tematu legalizacji aborcji, Polska wzorem Afganistanu i wbrew ustanowionej w 2015 r. przez ONZ „Agendzie na rzecz zrównoważonego rozwoju 2030” wciąż pozwala na śluby 16-letnim gówniarom. W wyjątkowych okolicznościach oczywiście, najczęściej takich, które zagnieździły się w ścianie macicy.

Ona temu winna

Scenariusz zwykle jest podobny: panienka z mlekiem pod nosem poznaje „miłość swojego życia” i kiedy radośnie rozchyła uda, po jakimś czasie okazuje się, że za chwilę manewr powtórzy na porodówce w celach zgoła innych niż okazanie uczucia. Zbrzuchacona smarkuła generuje nie tylko przykry dla rodziców problem szeroko pojętej hańby skurwienia się, ale i masę ekonomicznych niedogodności. Pal licha, że skrobanka jest nielegalna, przede wszystkim jest droga i niezgodna z nauczaniem Kościoła. Skutecznym i wygodnym dla wszystkich (z wyjątkiem samej zainteresowanej) wyjściem jest więc opcja zamążpójścia. Drugi wariant radosnego wejścia w dorosłe życie niepełnoletniej dziewczynki to klasyka gatunku rodem z patologicznej baśni – młoda pannica chcąc założyć rodzinę, jakiej sama nie miała, znajduje rycerza z poźółtkim PESEL-em, po sekscesach i kilku wspólnych chwilach z gotowaniem bigosu i wybieraniem koca w Ikea ma pewność, że to ten jedyny, i obsikawszy test ciążowy, ogłasza gotowość do założenia najważniejszej komórki społecznej. Fachowo model relacji, w którym starszy o kilkanaście bądź kilkadziesiąt lat mężczyzna wiąże się z nastolatką, nazywa się groomingiem, ale polskie sądy się tym nie przejmują. Upętnienie młodych kobiet przez zamążpójście rodzi wiele problemów, jednak nad losem przedwcześnie wydanych za mąż dziewczynek nie pochyła się nikt.

Dzidia i piernik

Miejsce dzieci jest w szkole, a nie w urzędzie stanu cywilnego – słusznie tłumaczył niemiecki minister sprawiedliwości Heiko Maas, kiedy w 2017 r. z jego inicjatywy wprowadzono w Niemczech zakaz zawierania małżeństw przez osoby niepełnoletnie.

Podobne prawo obowiązuje w Finlandii, Holandii, Danii, Norwegii, Szwecji, Anglii i Walii, a także Szwajcarii.

W Polsce natomiast 16-latka nie może zrobić tatuażu, prawa jazdy czy iść bez zgody rodziców do ginekologa, ale może złożyć w sądzie wniosek o zezwolenie na zawarcie małżeństwa. Dobrowolnie oczywiście, choć jak pokazują badania, przymuszanie do zaobrączkowania jest nierzadką praktyką.

Sąd opiekuńczy może taki wniosek klepnąć, jeśli uzna, że będzie to zgodne z dobrem założonej rodziny. Wyżej wspomnianym „dobrem” najczęściej jest rosnący w macicy nieletniej obywatelki płód, a sądy mimo rzekomo wnikliwej procedury postępowania dowodowego potrafią wydać zgodę, nawet jeśli

dziecko ma poślubić starszego od siebie o kilkadziesiąt lat mężczyznę, którego kandydatura na męża pozostawia wiele do życzenia, bo przykładowo ma na koncie wyroki za znęcanie się nad rodziną, seksualne wykorzystywanie nieletnich czy jest narkomanem, albo wszystkie te walory występują równocześnie. Dziewczyna, która zawrze małżeństwo na mocy postanowienia sądu, zyskuje pełną zdolność do czynności prawnej, to zaś niejako zdejmuje z państwa i rodziców problem odpowiedzialności za smarkułę. Zameżna szesnastka, nie tylko może brać udział w wyborach czy samodzielnie zawiązywać umowy, ale też zyskuje prawa rodzicielskie do własnego bombelka, jednocześnie wyswobodzając się spod kurateli opiekunów. Problem w tym, że małoletnie wnioskodawczynie same są dziećmi i sądy opiekuńcze powinny rozstrząsać pieczę również nad nimi, bo moment udzielania zezwolenia na zawarcie małżeństwa to niekiedy ostatnia szansa na ochronę nastolatki przed popadnięciem w głęboką demoralizację. Niestety, ustawodawca ma to w dupie.

Prawo dżungli

W 2016 r. w wyniku petycji osoby prywatnej, która uznała, że obowiązujące przepisy dyskryminują mężczyzn (sic!), powstał senacki projekt ustawy umożliwiający zawieranie małżeństw przez 16- i 17-letnich chłopców. Henryk Pawlarczyk, ówczesny przewodniczący Krajowej Rady Kuratorów, spuścił pomysł po brzytwie zauważając słusznie: *należy podejmować działania (...) w kierunku zwiększenia wieku dziewcząt z 16 do 18 lat oraz pozostawienia 18 lat chłopcom – mężczyznom*. Na dokładkę rada postulowała przeprowadzenie szerokich konsultacji naukowych w celu uniknięcia sytuacji pozwalającej na legalizowanie związków osób starszych z małoletnimi w kontekście uchodźców i imigrantów z innych kultur, jak również zachowań z pogranicza pedofilii. Pomysłowi przyklasnął ówczesny rzecznik praw obywatelskich Adam Bodnar, rekomendując zrównanie wieku pozwalającego na zaślubiny dziewcząt do 18 lat bez jakichkolwiek wyjątków. Ówczesny rzecznik praw dziecka Marek Michałak stwierdził w opinii, że nie widzi potrzeby prowadzenia prac legislacyjnych w tym zakresie, a ówczesna minister rodziny, pracy i polityki społecznej Elżbieta Rafalska umyła ręce, bo uznała, że problem nie dotyczy jej resortu. Projekt spłynął z nurtem Wisły. W 2017 r. RPO zrobił drugie podejście do tematu i skierował do ministra sprawiedliwości Zbigniewa Ziobry postulat o zlikwidowanie patologicznego zapisu umożliwiającego ślub nieletnim dziewczynkom. Ziobro odmówił, a jego argumentacja tylko podkreśliła, że prawa kobiet zaczynają i kończą się w macicy:

Zróżnicowanie w tym zakresie sytuacji prawnej kobiet i mężczyzn (...) jest uzasadnione m.in. ze względu na uwarunkowane biologicznie różnice między kobietami a mężczyznami w tempie osiągania stopnia dojrzałości niezbędnej do wykonania obowiązków wynikających z założenia rodziny. Krótko mówiąc, jeśli prokurator wyjął łapę z gaci nastolatki, a przypadkiem następstwem tej okoliczności jest ciąża, to minister nie widzi przeciwwskazań, żeby był ślub. Mimo że między dojrzałością płciową a emocjonalną jest różnica jak między kotkiem a młotkiem.

Lepsza rozwódka niż latawica

W 2015 r. ONZ przyjęła „Agendę na rzecz zrównoważonego rozwoju 2030”, której jednym z celów jest osiągnięcie równości płci oraz wzmocnienie pozycji kobiet i dziewcząt poprzez wyeliminowanie wszelkich krzywdzących praktyk, takich jak wcześnie i przymusowe małżeństwa, małżeństwa dzieci i okaleczanie narządów płciowych. W 2017 r. Parlament Europejski przyjął „Rezolucję w sprawie wyeliminowania zjawiska zawierania małżeństw przez dzieci”, a rok później uchwalił rezolucję w kierunku zewnętrznej strategii UE dotyczącej przeciwdziałania wczesnym i przymusowym małżeństwom, w którym to dokumencie apeluje do ustawodawców o ustanowienie minimalnego wieku do zawarcia małżeństwa na 18 lat. W Polsce od czasu bezowocnej inicjatywy Adama Bodnara nad problemem nie pochylił się nikt. Z danych GUS-u wynika, że liczba małżeństw zawieranych za zgodą sądu maleje, sporo jest jednak tych, w których różnica wieku między małżonkami jest bardzo duża. W 2019 r. w województwie pomorskim sąd zezwolił na małżeństwo 17-letniej dziewczyny z 51-latką. W 2022 r. na 87 mężczyzn, którzy ożenili się z nastolatkami, dziewięciu miało powyżej 30 lat. Według badań 75 proc. tego typu związków kończy się rozwodem. Jak widać, dla państwa status młodej rozwódki jest mniej problematyczny niż nieletniej panny z dzieckiem. I nic nie wskazuje na to, żeby prędko miało się to zmienić.

IDALIA DUBICKA



ILLUSTRACJA: PAWEŁ FERENC

Naziolo w kolebce

Jak podejrzewają historycy, stolicą Mieszkową nie było wcale Gniezno, lecz Poznań. Nie mnie sądzić, jaka jest prawda, lecz zważywszy na małą odległość pomiędzy dwoma przesławnymi grodami, wypada z pokorą uznać miasto trykających się koziołków za kolebkę staropolskiej państwowości. Później to już różnie z polskością Poznania bywało, ale w końcu Niemcy nie dali rady i Poznań jest na wieki nasz!

Te wstępne uwagi były mi potrzebne niczym suspens w filmie, jako że właśnie na tym wzniosłym symbolicznym tle rozegrał się i trwał przez godzinę dramat polegający na wizycie dwóch nazistów w poznańskim urzędzie miasta. I to na zaproszenie jednego z dyrektorów w urzędzie. Czegoś takiego Poznań nie widział od czasów wojny. Bo za Hitlera to naziści wchodzili do ratusza co minutę. Więc może chodzi o pielęgnowanie tradycji? Urzędnicy tłumaczą to jednakże inaczej. Podobno chodzi o demokrację i wolność słowa.

Cóż się więc stało, że we wtorek 20 sierpnia dwóch łysych panów nazioli (starszy z nich, jak podaje „Gazeta Wyborcza” to niejaki Tomasz Kusiak) ze wszelkimi znaki danymi sobie, jako to symbol 88 (HH, czyli Heil Hitler!), krzyż celtycki (znak supremacji białej rasy) oraz krzyż żelazny (symbol Wermachtu), udało się z wizytą do urzędu miasta wyjaśnić sobie z kim trzeba, co takiego sprawiło, iż prezydent odmówił im objęcia patronatem ich marszu, a nawet zakazał im tej faszystowskiej zadymy, która zresztą i tak się, mimo zakazu, 8 sierpnia odbyła. Przyjął ich, a właściwie wyrzucił prawie natychmiast za drzwi, dyrektor gabinetu prezydenta miasta Patryk Pawełczak. Jak tłumaczył, do spotkania musiało dojść, dlatego że są to mieszkańcy Poznania.

Naziolo czuli się w urzędzie bardzo pewnie, bo mieli po swojej stronie strażników, którzy podawali im wodę (jako że byli spragnieni). Natomiast na dziennikarzy wezwali policję, bo nie chcieli opuścić po dobroci. Ta nie wiedziała, co robić, bo za rządów PiS podobno zaprzestano pożytecznych szkoleń, na których w dawnych dobrych czasach mówiło się adeptom sztuki policyjnej, co to takiego te zakazane symbole nazistowskie. Dopiero następnego dnia szef wysłał radiowozu pod mieszkanie naszych białych jak ruskie śniegi kozaków, aby zabrać stamtąd koszulki z napisami i inne nazistowskie gadzety. Zreflektował się też urząd miasta, który powiadomił o incydencie prokuraturę, a ta obiecała wszcząć śledztwo. To duży postęp w stosunku do niedawnej sytuacji, kiedy to poznańska policja obserwowała nielegalną rasistowską burdę, komentując na wiekopomnymi słowami: *Mają zgłoszone zgromadzenie i wyrażają swoje poglądy. My tego nie oceniamy.* Nie oceniali chłopcy, bo było o Żydach. Gdyby zamiast o paskudnych Żydach było mniej więcej o Polakach, to pewnie by się o jakąś ocenę pokusili.

Nie wiem, czy w poznańskim Urzędzie Miasta i na policyjnych posterunkach w kolebce polskości nas czytają, ale na wszelki wypadek pozdrawiamy i wyjaśniamy pewne sprawy. Otóż w wszystko, co się w Poznaniu dzieje wokół nazistów, to jedna wielka nieporadność i niekompetencja. A składa się na nią kilka nieporozumień i deficytów moralnych, tudzież profesjonalnych. Jeden z nich ma zresztą charakter powszechny i polega na dziwnym lekkim kuleniu się na widok nazistów. Nawet odważni dziennikarze, widząc nazistę, boją się nazwać rzecz po imieniu i zamiast mówić, że to naziści, obdarzają ich łagodzącym przedrostkiem „neo”. Czemuż to? Ze strachu przed pobiciem? Z ostrożności procesowej? Albo żeby

nie wywołać wilka z lasu? Kto ich tam wie. Na wszelki wypadek przypominam więc dziennikarzom, rzecznikom prasowym i w ogóle *urbi et orbi*, że

każdy bydlak, który głosi wyższość białej rasy i chce tępić Żydów, jest zwykłym nazistą, a nie żadnym tam neonkiem. Neonki to w akwarium. A to są naziolo. Czy to już zrozumiano?

To jednakże drobiazg. Gorzej, że wielu Polaków, a w tym również urzędników i policjantów, właściwie w ogóle nie wie, o co się rozchodzi z tymi faszystami i nazistami, nie mówiąc już o „tych Żydach” i „tym całym antysemityzmie”. Nie wiedzą, co właściwie takiego złego jest w tych chłopcach narodowcach, którzy tak głośno wyznają miłość do Polski. A że przy tym coś poręczą, jakiegoś racie puszczać, to wiadomo, kibice. I właśnie ta ignorancja, ale nie taka niewinna, lecz podszyta skrawkami powszechnych dawniej uprzedzeń i szowinistycznych emocji, wytwarza atmosferę głupekowato-lękliwej tolerancji dla nazizmu.

Jest jednakże coś jeszcze, co nazwałbym demokratycznym spazmowaniem. Taki urzędnik z ratusza myśli sobie, że, no, przecież to obywatel i ma prawo się spotkać, otrzymać wyjaśnienia... Otóż w przypadku nazistów jawnie naruszających prawo i porządek publiczny tego rodzaju otwartość nie ma zastosowania. Naziści tak jak inni przestępcy są obywatelami, mogą pisać pisma i trzeba im na te pisma odpowiadać. Lecz czymś innym są wykonywane za

pomocą pism procedury, a czymś innym praktykowanie demokracji poprzez rozmowy, dyskusje, spotkania, a nawet negocjacje. Ludzie szerzący nienawiść rasową i zwywający do agresji nie mają miejsca przy stole publicznej debaty i nie należy ich nigdzie zapraszać. Nie tylko bowiem nie spełniają minimalnych warunków uczestnictwa w rozmowach przyzwoitych ludzi (w przypadku nazistów nietrudno to ocenić

JA PIERDOŁĘ!
ŚNIKO MI SIĘ,
ŻE SIEDZIAŁEM
W EMPIKU NA KRZESŁE
Z IKEI I ŻARŁEM
KEBSA OD TURKA!



JAN HARTMAN

i każdy jest do takiej oceny powołany), lecz po prostu zasługują na ostracyzm. Urzędnik w poznańskim ratuszu po prostu tego nie rozumie i coś mu się pomieszało. Dostał jakiegoś służbowo-demokratycznego wzmoczenia, skutkiem czego dwóch nazioli mogło sobie urządzić nazistowską prowokację w urzędzie, a w dodatku wziąć sobie strażników do asysty. Miejsmy nadzieję, że teraz już zmądrzeje.

Staliśmy się krajem giga muzeów, w których nie ma czego oglądać.

W ostatnich kilkunastu latach każda władza pakowała kasę w muzea. Na muzeum Polin poszło 320 mln zł. Prawie pół miliarda wydaliśmy na Muzeum II Wojny Światowej. Na Muzeum Historii Polski – ponad 1,2 mld zł. Dodajmy do tego zasponsorowanie księcia Czartoryskiego przez Piotra Glińskiego pół miliardem złotych. Zdawać by się mogło, że rządzący od lat pakują gigantyczne pieniądze w muzealnictwo, jakby było ono zapóźnione cywilizacyjnie niższym naszym koleje żelazne, czy przedpotopowa energetyka.

Wystawianie dobrego wrażenia

Najliczniej odwiedzane polskie muzea to Auschwitz-Birkenau z 1,67 mln zwiedzających w 2023 r., kopalnia w Wieliczce z 1,5 mln oglądaczy i zamek na Wawelu rozdeptywany rocznie przez 2,3 mln turystów. Tyle tylko, że to i tak niewiele ponad dwie trzecie tego towarzystwa, które odwiedza rocznie jedno tylko paryskie muzeum. Takie o nazwie Luwr, które sprzedaje rocznie grubo ponad 8 mln biletów.

Luwr to wielka galeria sztuki, a głównie malarstwa. My też mamy takie coś. Nazywa się to Muzeum Narodowe w Warszawie i wpuszcilo w zeszłym roku ponad 2 mln zwiedzających. 143 tys. powędrowało tam na wystawę czasową „Picasso”, bo było na niej ponad 120 prac artysty. Grafiki, ceramiki i ilustracji książkowych pochodzących głównie z Muzeum Domu Narodzin Picassa w Maladze.

Z powodu tego, że ludzie ze świata mogą oglądać artystyczne artefakty u siebie, zwiedzających z zagranicy jest w MN trochę ponad 10 proc. A w Paryżu – 70 proc. Pewnie dlatego, że o rzeźbie gołej pani bez rąk i zezowatej Włoszce namalowanej na desce, słyszał każdy, a o Chełmońskim i Gierymskim – niekoniecznie.

Milionów zwiedzających nie udało się napędzić do polskich muzeów nawet „Damie z łasiczką”. A to z tego prostego powodu, że dla jednego małego obrazu nikt nie będzie jechał na koniec świata. Żeby przyciągnąć turystę, trzeba mieć znakomicie więcej hitów z historii sztuki, niż występuje we wszystkich polskich muzeach. I tego nie zmienimy. Nie mamy zatrzęsienia mistrzów włoskich, czy holenderskich. Brak u nas dzieł ojców impresjonizmu, Picassa, Dalego, czy choćby Chagalla. W związku z tym wyżej tyłka – w kwestii wabika na turystów – malarsko nie podskoczymy.

Oczywiście stawianiem nowych muzeów też nie. Mimo że Muzeum Żydów POLIN rocznie odwiedza ok. 300 tys. osób, a Muzeum Powstania Warszawskiego trochę ponad 600 tys., to biorąc pod uwagę to, że Zamek Królewski odnotował ponad 2 mln zwiedzających, warto się zastanowić nad włożeniem jakiegokolwiek złotówki w nowo budowane muzeum. Na Pomorzu Muzeum II Wojny zaliczyło co prawda publikę w liczbie ok. 350 tys., ale nie podskoczy krzyżackiej

Uciśnienie dwóch

Odpowiadam Borowieckiemu. Ugodowo.

W artykule „Bezkarność dwóch pedatów” („NIE”, nr 32-33/2024) Tomasz Borowiecki twierdzi, że rozbustwieni cykliści są zmorą Polski. Jako cyklista czuję się wywołany do odpowiedzi.

Prawda: jest dużo ad hoc niby-praw; nadzoru i identyfikacji zero. Tak, dużo z nas jeździ koszmarnie. Wolno, niestabilnie, obok siebie i za szeroko (co nie musi być wykroczeniem, częściej jest nieuprzejmość). Zamiar skreślenia? Tik ręki na sekundę przed manewrem. Okrzyk w telefonie, rażenie przeciwnika lampką o jasności spawarki. Niewiedza i chamstwo.

Wniosek z zachowań takich jeleni (choć tempo sugeruje żółwia na zwierzających dopalaczach) o cyklistach jako klasie to bzdura. Podobnie rozsądny Polak reaguje na wniosek o Polakach z działań redemptorysty, elektryka, trzech doktorów prawa czy działacza siatkarskiego.

Furmańska łacina mówi: *pars pro toto*.

Ścieżki

Temat rzeka, poruszany więcej niż raz. Ja bezpieczniej czuję się na jezdni, wśród okropnych (wg ocadzającego cykloaktywu) kierowców. Nie są okropni; bywają. Kto nie rozróżnia, ten dureń. Tysiące kilometrów ścieżek? Wystarczy jeździć 100-150 km w weekend: suma długości odcinków ścieżek nie mówi, ile z nich jest na tyle długich, żeby dało się pędzić choćby 10 minut i nie było trzęsawki ani dziur. A intruzy? Piesi, biegacze, hulajnogi (jadące, porzucone

REKLAMA

Robert Walenciak Co robi Państwowa Komisja Wyborcza

Sędzia Małgorzata Wasylczuk Zapaść sądownictwa

Rafał Skąpski Tajemnica biografii Łomnickiego

Jakub Dymek Trzy lata po ucieczce Amerykanów z Afganistanu

tygodnikprzeгляд.pl

Prof. Grzegorz W. Kolodko

BLASKI I CIEŃ TRANSFORMACJI
CO BY BYŁO, GOBY...

Robert Walenciak
Co robi Państwowa Komisja Wyborcza

Sędzia Małgorzata Wasylczuk
Zapaść sądownictwa

Rafał Skąpski
Tajemnica biografii Łomnickiego

Jakub Dymek
Trzy lata po ucieczce Amerykanów z Afganistanu

PATRYK JAKI I TORTURY

SZOKUJĄCE KULISY

78-letnia adwokat Alina Dłużewska spędziła 22 miesiące w areszcie

Muzeum muzealnictwa polskiego

stolicy w Malborku, z jej niemal 600 tys. zwiedzających.

Nowe migające i gadające muzea są atrakcją głównie dla turystów krajowych. Zagraniczniacy to ledwie kilka procent odwiedzającej je publiki.

Po cholere więc było wydawać 2 mld zł na trzy muzea w kraju, w którym tego typu placówek jest ok. tysiąca? Za ułamek tych pieniędzy przeznaczony na reklamę istniejących placówek można by przecież uzyskać pod większością nieustające kolejki chętnych. Ba, dzięki niewielkim w stosunku do tej kwoty pieniądзом i paru mykom organizacyjnym można by było tak pokombinować, żeby w kilkunastu muzeach było naprawdę co oglądać. Platforma Obywatelska nigdy o tym nawet nie pomyślała. Najlepszym przykładem na jej bezmyślność była plałta Muzeum Techniki w Warszawie, bo po co komu były stare rupiecie, skoro Hanna Gronkiewicz-Waltz otworzyła grające i buczące Centrum Nauki Kopernik. Uratowanie Muzeum Techniki w Pałacu Kultury przypadło zatem Głińskiemu. Ale dzięki temu udało mu się choć jedna sensowna rzecz.

Prehistoria z wczoraj

Główny Urząd Statystyczny podaje, że w 2023 r. działalność prowadziły 974 muzea i oddziały muzealne. Zwiedziło je 42,3 mln osób.

59,3 proc. publiki muzeów było w dwóch województwach – mazowieckim i małopolskim. Pewnie dlatego, że w nich działa odpowiednio 140 i 111 takich placówek. W tych województwach zwiedzający stanowili ponad 60 proc. ogólnej liczby zwiedzających muzea. Czy kogoś zdziwi, że najmniej muzeów (17) i zwiedzających (281,6 tys.) notuje województwo lubuskie? Chyba nie, bo co tam można oglądać?

Generalnie jednak źle dla statystyk nie jest, bo liczba zwiedzających muzea w Polsce na 1000 ludności wyniosła 1123. Tyle że ta sama statystyka pokazuje, że 12,8 mln osób było w muzeach bezpłatnie, a 7,9 mln skorzystało z biletów ulgowych.

Kiedyś w zwiedzaniu przodowały szkoły. Dla uczniów organizowano specjalne lekcje albo wzniosło-patriotyczne koncerty. Ale w zeszłym roku zorganizowane grupy młodzieży szkolnej stanowiły ledwie 9 proc. To zaś pokazywałoby, że ludzie ruszyli do muzeów sami z siebie i z nudów.

GUS podaje, że do sektora publicznego należało 71,9 proc. muzeów. Z tego zaś niemal 85 proc. należy do samorządów. Prywatnych muzeów mamy trochę, ale połowa z nich to hobby lub sposób na uatrakcyjnienie hotelu czy agroturystyki pojedynczych osób. Mówienie więc o nich jako o muzeach to gruba przesada.

Należące do państwa i samorządów muzea finansowane są z kasy nas wszystkich. Zatrudniają kilkadziesiąt tysięcy osób i w znakomitej większości są deficytowe. Muzealnicy podają,

że we wszystkich tego typu placówkach jest ok. 11 mln eksponatów, z czego dziełami sztuki są prawie 2 mln. Oczywiście są nimi też występujące niemal we wszystkich muzealnych zabytkowych pałacach kopie obrazów. Pewnie dlatego, że kopie mają co najmniej kilkadziesiąt lat.



Rys. TOMASZ WINTER

A ponieważ czas płynie i zamienia w historię wszystko to, co było wczoraj, to państwo polskie dostrzega coraz więcej rzeczy, które trzeba ochronić od zapomnienia. W związku z tym od roku 2013 ubogaciliśmy się jako kraj o ponad jedną piątą muzeów.

Oznacza to, że w ciągu roku otwieramy niemal 40 nowych placówek.

Bunkier Milusin

I otwierać będziemy. Tak jak wymyślone przez Rydzyka toruńskie Muzeum „Pamięć i Tożsamość” im. św. Jana Pawła II. Umowa pomiędzy Ministrem Kultury i Dziedzictwa Narodowego a Fundacją Lux Veritatis dotycząca utworzenia muzeum została podpisana przez Głińskiego.

Pisowskie Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego na budowę i wyposażenie muzeum przekazało fundacji redemptorysty 182 mln zł. Pod nową władzą muzeum nieustająco jest publiczną instytucją kultury, której dyrektorem jest prawa ręka Rydzyka o. Jan Król.

14 sierpnia 2020 r. Andrzej Duda otworzył Muzeum Józefa Piłsudskiego w Sulejówku, po czym placówkę zamknięto na ponad pół roku. Muzeum nie jest willą Marszałka, tylko betonowym bunkrem za 250 mln zł. Tak jakby o rzut beretem nie było warszawskiego Belwederu, do którego zmieściłyby się wszystkie pamiątki po Dziadku.

Muzeum Żołnierzy Wyklętych w Ostrołęce otwarto w 2019 r. Kosztowało kilkadziesiąt milionów złotych. Dwa lata później PiS ogłosił, że za 700 mln zł strzeli kolejne muzeum Wyklętych w stolicy przy ul. Rakowieckiej. Muzeum Pamięci Mieszkańców Ziemi Oświęcimskiej poświęcone oświęcimskim tubylcom, którzy niesli pomoc więźniom niemieckiego obozu Auschwitz, hula od 2022 r. Kosztowało niemal 40 mln zł i kosztuje dalej, bo podlega Ministerstwu Kultury. A ministerstwo zobowiązało się do przekazywania dotacji na bieżącą działalność muzeum w kwocie 1 mln zł jeszcze w tym roku i po 2 mln zł rocznie w kolejnych latach.

Muzeum Pamięci Sybiru w Białymstoku otwarto w 2021 r. Koszt to niemal 60 mln zł. Dyrekcja chwaliła się, że w 2022 r. placówkę odwiedziło 40 tys. osób. Czyli pewnie wszyscy chętni, bo danych za następny rok nie sposób od kogokolwiek wyciągnąć.

Za Muzeum Ziemi Wschodnich Dawnej Rzeczypospolitej w Lublinie w 2017 r. ministerstwo Głińskiego zapłaciło prawie 11 mln zł. Konkretnie zaś za budynek, a dostosowanie go i wyposażenie miało pochłonąć cztery razy tyle. I pewnie pochłania, bo placówka non stop się tworzy.

Głiński chciał mieć pisowski POLIN. Wymyślił więc Muzeum Getta Warszawskiego. Budowa za 300 mln zł ruszyła tuż przed wyborami i trwa.

Głiński zapowiadał też, że ma miliony na powstanie Muzeum Chasydyzmu Polskiego w Leżajsku. Na szczęście sami zainteresowani, czyli chasydzi, wybili mu to skutecznie z głowy ku chwale polskiego budżetu.

To jednak nie koniec. Głiński chciał też muzeum – miejsca pamięci po niemieckim obozie zagłady i obozie pracy w Treblince. Przedstawiciele ministerstwa i samorządu województwa mazowieckiego podpisali nawet list intencyjny w sprawie utworzenia takiej placówki. Na szczęście pomysł zdechł.

Zdublowana pamięć

Kilka lat temu padła koncepcja sfinansowania przerobienia warszawskiej willi Narutowicza w Muzeum Ignacego Paderewskiego. Bo jak powiedział obwieszczający to światu marszałek woj. mazowieckiego Adam Struzik, w tej chwili sytuacja finansowa województwa jest na tyle dobra, że możemy zaplanować modernizację i kompleksowy remont tego obiektu. Głiński, gdy to usłyszał, natychmiast zobowiązał się do dofinansowania. Ani jeden, ani drugi na szczęście nic nie zrobili.

Na szczęście, bo pod Struzikiem jest choćby skansen Muzeum Wsi Radomskiej. Placówka jest o godzinę jazdy z Warszawy, gdzie w długim sierpniowym weekend setki tysięcy ludzi nie miało co ze sobą zrobić, a pogoda zachęcała do wypadu. Co w takich okolicznościach robi skansen? Zamyka się na kilka dni, żeby zamiast tysięcy zwiedzających, przyjąć zlot harcerzy, który można było ustalić na dowolny termin. Widocznie tak jak przed sześcioma laty, tak i dziś sytuacja finansowa województwa jest na tyle dobra, że można mieć gdzieś pieniądze od turystów.

Bez cudów

W przeciwieństwie do Muzeum Lecha Wałęsy w domu parafialnym w Sobowie niedaleko Płocka na Mazowszu. Koszt utworzenia placówki szacowano w 2018 r., gdy informowano o inwestycji, na ponad 1 mln zł, przy czym unijne wsparcie pochodzące z Regionalnego Programu Operacyjnego Województwa Mazowieckiego na lata 2014–2020 miało wynieść ponad 824 tys. zł. Ale rządziło PiS, więc porobiło się tak, że Wałęsa swojego muzeum nie ma.

Według obowiązującej propagandy obok Wałęsy świat zna jeszcze jednego Polaka – Wojtyłę. W 2018 r. podczas spotkania oplatkowego prezydentów, burmistrzów i wójtów miast i miejscowości papieskich, ktoś wpadł na pomysł, by stworzyć Muzeum Miniatur Ołtarzy Papieskich. Media zaszczebiotały z radości i jęły wróżyć przedsięwzięciu turystyczne wzięcie. Miało w Muzeum wszak stanąć 58 miniatur, za które ze swoich podatków zapłacić winny osoby mające szczęście mieszkać w – cokolwiek to znaczy – „miejscowościach papieskich”. Ponieważ muzeum nie ma, to widać zdarzył się cud nieklamany.

Jednak ewenementem na skalę światową jest wspomniane na początku Muzeum Historii Polski. A to dlatego, że istniejąc od 2006 r., mając od tamtej pory tego samego dyrektora w osobie Roberta Kostro, dysponując od dwóch lat wybudowanym za grubo ponad miliard złotych gmachem o powierzchni 44 tys. mkw, składającym się z dwóch poziomów podziemnych oraz czterech naziemnych, nie ma ekspozycji stałej. Przez niemal 20 lat istnienia i kilka lat budowy według znanych planów, nikt nie wpadł na to, że wypadałoby niemal równolegle z wykańczaniem budynku przenosić do niego gromadzone od lat artefakty polskości.

A może ich po prostu nie ma? I dlatego zamiast historii Polski w MHP trafia się na ekspozycję stanowiącą, że naród polski to katolicyzm, Sienkiewicz, antykomunizm, komiksowe bohomyzy pacykary z Bractwa św. Łukasza i opowieści o pogrzebach. Nie dziwota więc, że po czymś takim cztery piętra powyżej, na tarasie na dachu budynku, głównym zajęciem ochrony jest odwożenie ludzi od chęci skoczenia w dół.

Ale może w tym idiotyzmie jest metoda, by stać się turystyczną potęgą. Skoro nie mamy wieży Eiffla, Koloseum, ani Krzywej Wieży, o dziełach van Gogha czy Hieronima Boscha nie wspominając, to wykorzystajmy to, co mamy. Wszak współczesny turysta lubi wyzwania. Dlaczego zatem miałyby nie chcieć pobyć choć kilku dni w najbardziej umuzealnionym kraju Unii Europejskiej?

TADEUSZ JASIŃSKI

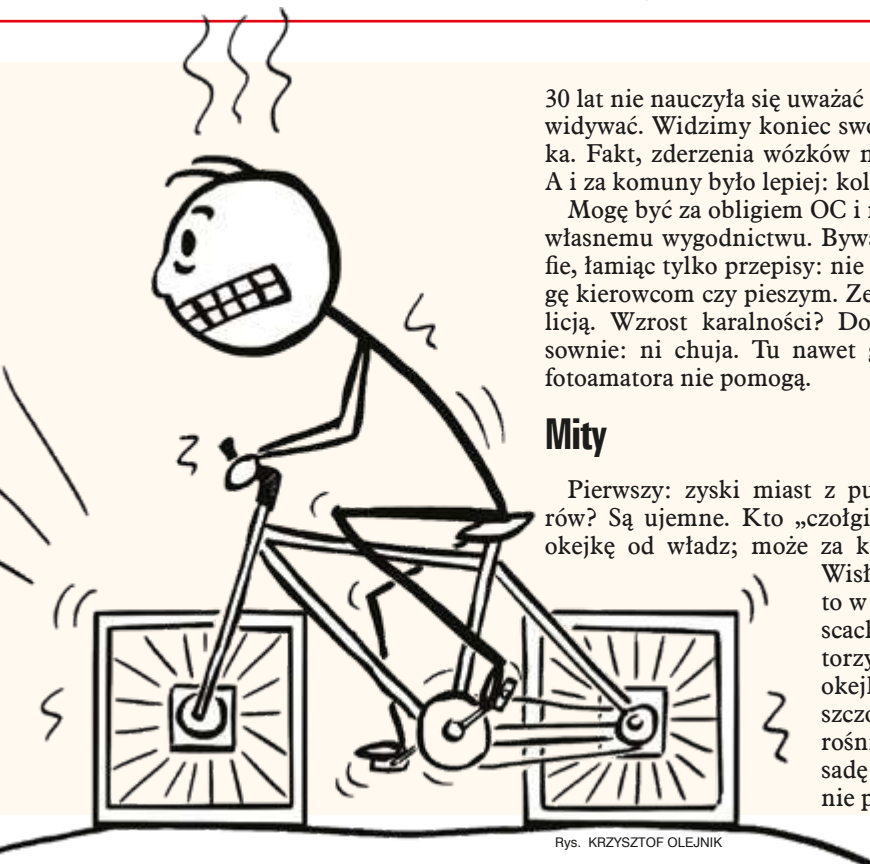
pedałów

– do wyboru), mamy z wózkiem (kontent też lubi toczenie po gładkim). Kto komu bardziej brzdzi? Nie wiem; dogadujemy się.

Ustępuję autobusom, mrugają wtedy. I ja dziękuję tym i owym, pilnując, by wymachu gimnastycznego nie robić. Może by tak uprawnienia do jazdy szosą? Egzamin: wiedza o ruchu drogowym + wydolność.

Lek na status quo? Stójkowi co 100 m. I dla chcących eliminacji problemu w stu procentach propozycja: zostań pan stójkowym. Pięknie jest marzyć o mądrym, wewnętrznie niesprzecznym prawie i trzymaniu się jego litery, czasem ducha. Inni z marzeń wyrosli – ze złudzeń też. Np. tego o świętości kierowców.

Mój patent na ucieczkę od problemu jest prosty jak kierownica model baranek: śmigać tam, gdzie ścieżek nie ma. Patent na rojenia, że w tej i podobnych kwestiach będzie lepiej? Wizyta w supermarkecie. Większość z nas przez



Rys. KRZYSZTOF OLEJNIK

30 lat nie nauczyła się uważać na innych i przewidywać. Widzimy koniec swojego nosa i wózka. Fakt, zderzenia wózków nie są śmiertelne. A i za komuny było lepiej: kolejki i koszyki.

Mogę być za oblikiem OC i rejestracją wbrew własnemu wygodnictwu. Bywam w szarej strefie, łamiąc tylko przepisy: nie wjeżdżam w drogę kierowcom czy pieszym. Zero dyskusji z policją. Wzrost karalności? Donoszę bezinteresownie: ni chuja. Tu nawet gorliwcy z żyłką fotoamatora nie pomogą.

Mity

Pierwszy: zyski miast z publicznych rowerów? Są ujemne. Kto „czołgi” utrzymuje, ma okejkę od władz; może za kopertę. Cud nad Wisłą, że odstawia się to w ustalonych miejscach; może „operatorzy” hulajnóg za okejkę posmarowali szczerzej? A bajzel rośnie, na drugą zasadę termodynamiki nie poradzisz.

Drugi: środowisko, któremu wyrób rowerów szkodzi. Ile energii pochłania produkcja, eksploatacja i serwis roweru oraz samochodu, można porównać. I przemożyc przez stosowne liczby. Moda na cyklizm jako skutek eko? Wątpię. Raczej korków, potrzeby ruchu. Istnienia sprzętu na poziomie niemal zawodniczym dla bogatszych, okazji do pokazania się w sexy wdzianku i szpanu cyfrą wirtualu. O eko jako fizyk mam swoje zdanie. Sprzęt mam stary, 10 razy tańszy niż współczesne i z licznikiem za 25 zł z marketu. Też do cyfry lubię się popałować.

Lobby za udogodnieniami jest raczej w urzędach: „kasa jest na to i tamto, pozyskajmy i wydajmy”. Wielcy tego świata śpią. Po co? Dlaczego? Może, żeby uspokoić samopoczucie i sprawozdawczość.

Wzrusza troska red. Borowieckiego o niemoc fiutków i o ptuca. Wliczamy w koszt. Dajcie pojeździć i wypuścić parę! A jak kto was wyprzedza, pedałując między dwoma zakorkowanymi przez samochody pasami, nie miejcie do kulawego pretensji, że ma proste dzieci.

WŁODEK NATORF

Państwo z tektury

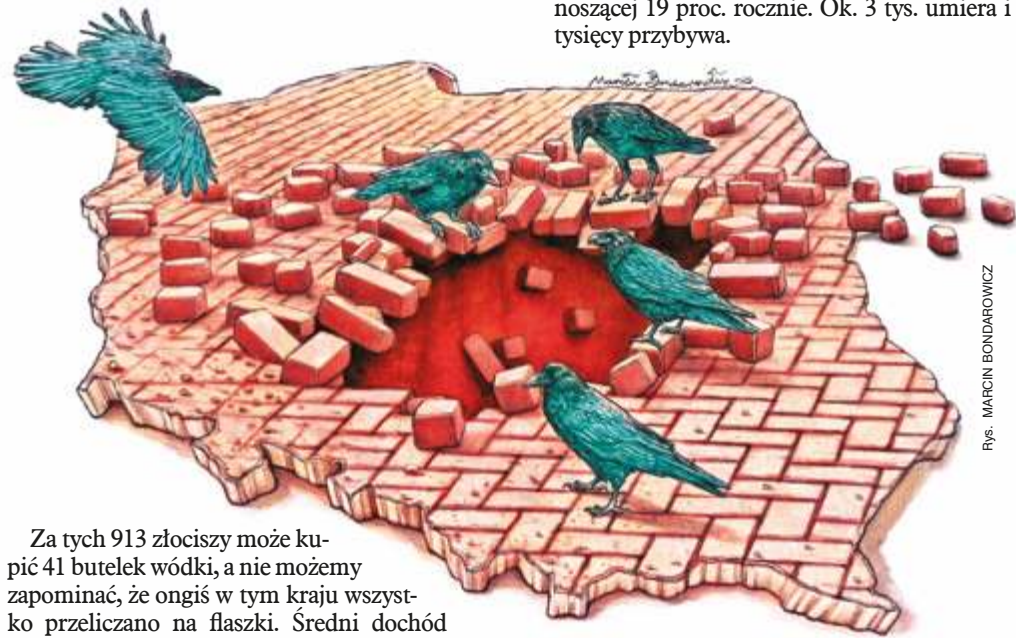
Nikt się nie upomina, więc my się upominamy

Jak powinien być powiedzieć Jarosław Kaczyński, gdyby był człowiekiem rozsądnym i uczciwym: *Zakończyła się ośmioletnia wojna z biedą. Biedni prze-grali!*. Absurdalne działania PIS-u – szczere lub koniunkturalne, kto to wie – polegające głównie na rozdawaniu pieniędzy, na które nie było wynikłego z podatków pokrycia w budżecie państwa, a zostały dodrukowane, nie zmieniło nic.

Poziom ubóstwa mierzony w kategoriach finansowych wrócił do czasów sprzed rozdawnictwa. Wzrósł w minionym roku o 31 proc. Siła nabywcza zasiłków socjalnych zmalała przez inflację do poziomu sprzed władzy PiS. Arytmetycznie było to łatwe do przewidzenia, ale generalnie nie o to chodzi. Chodzi o to, że tak naprawdę sytuacja człowieka niebędącego w stanie zapracować na własne podstawowe potrzeby niewiele się zmienia, czy dostaje on 1000 zł zasiłku, czy 1400 zł.

Będę politycznie niepoprawny. Mentalnie taki osobnik nie został zmieniony. Pozostaje tak samo niezaradny. Jego sytuacja niewiele by się poprawiła, gdyby nawet znalazł walizkę z dolarami, w której byłoby ich 100 tys. Kiedy by wydał te pieniądze, gorzej lub lepiej, a celuje, że gorzej, nadal byłby ubogi duchem jak przed walizkowym epizodem.

Obraz polskiej biedoty jest jednak odrobinę nieuczciwie malowany. 1,6 mln Polaków żyjących w ubóstwie i 16 proc. zagrożonych biedą – to wygląda dość żałośnie. Ale posłużmy się statystyką. Z niej na przykład wynika, że 800 mln ludzi na świecie żyje w ubóstwie, ponieważ ich dzienny dochód jest mniejszy lub równy dolarowi. To daje tych dolarów 30 miesięcznie. Skoro u nas za granicę ubóstwa przyjmuje się kwotę 913 zł, czyli jakieś 230 dolarów, można rzec, że polski biedak jest siedmiokrotnie bogatszy od tych setek milionów na planecie, zatem powodzi mu się wyśmienicie.



Rys. MARCIN BONDAROWICZ

Za tych 913 złocizy może kupić 41 butelek wódki, a nie możemy zapominać, że ongiś w tym kraju wszystko przeliczano na flaszki. Średni dochód miesięczny zatrudnionego na pełnym etacie w gospodarce uspołecznionej wynosił 20 flaszek.

Lumpenproletariatowi zatem kapitalizm zrobił bardzo dobrze. Jego zdolność do spożywania bez pracy wzrosła o 100 proc. w stosunku do czasów, kiedy musiał na tę zdolność jednak zapracować. Nie sposób też nie zauważyć, że ów dochód z granicy ubóstwa w naszym kraju po jednym roku pozwala na zakup używanego samochodu, powiedzmy klasy porównywalnej do prądnego FSO 1500, który był autem dobrym. Swego czasu taki pojazd stanowił wartość domu jednorodzinnego.

Bawię się tymi cyferkami, aby uzmysłowić, że statystyka, którą mierzy się zubożenie społeczne, jest wielce ułomnym narzędziem pomiarowym.

Zgodnie z raportami przedstawianymi rządowi owe 913 zł dochodu (lub mniej) uprawnia do uzyskania zasiłku okresowego (w praktyce bez-

terminowo) w wysokości 1000 zł. Jak się jedno do drugiego doda, to premierowi Tuskowi wychodzi, że z głodu w Polsce nie można skończyć i jest git.

Stąd też stanowisko liberałów z PO, że nie będzie gorzej. Biedacy niech radzą sobie sami. Mimo najgorszych starań poprzedniej władzy – a także, jak wskazują doświadczenia pozostałej części świata – metodami rozdawniczymi sprawdzalnymi statystycznie w kategoriach finansowych problemu biedy nie udało się nikomu rozwiązać. Poza Katarzem i Kuwejtem – ale to jest zupełnie inna sprawa.

Być może liberałowie mają rację. Natomiast ta racja nie może dotyczyć tej grupy ludzi w naszym katolickim społeczeństwie, którzy w ogóle nie mają z czego żyć i gdzie mieszkać. Jest ich ok. 33 tys. Liczba ta nie zmienia się od 15 lat. Niemrawość jej wynika z dużej śmiertelności w tej populacji, wynoszącej 19 proc. rocznie. Ok. 3 tys. umiera i tyleż tysięcy przybywa.

33 tys. bezdomnych to jest hańba dla Polski. Wstyd, za który całkowitą winę ponoszą rząd, samorządy, episkopat ze wszystkimi swoimi placówkami rozsiadani w całym kraju oraz przynajmniej 1 mln 400 tys. Polaków, którzy mają mieszkania, ale nie dla takich, których nie stać na nie. Według ostatniego spisu powszechnego w Polsce jest właśnie tyle niezamieszkałych lokali. W samej Warszawie jest 190 tys. pustostanów (to nie są obiekty pod wynajem, one są po prostu puste, traktowane przez właścicieli jako lokata kapitału).

Nie ma żadnego ekonomicznego, moralnego, ludzkiego uzasadnienia i usprawiedliwienia dla takiego stanu rzeczy. W naszym jednak wysoko rozwiniętym społeczeństwie 38 mln obywateli są możliwości, warunki i środki, aby ludzie nie musieli spać na ławkach i mieszkać w parkach.

W schroniskach dla psów i kotów stworzyliśmy 110 tys. miejsc dla bezdomnych zwierząt wraz z wyżywieniem. Adoptujemy ich niemal 36 tys. rocznie. Władza centralna i lokalna więcej wydaje na mieszkania dla czworonogów niż potrzeba do zlikwidowania problemu bezdomności ludzi!

Łatwo zauważyć, trudniej rozwiązać problem. Mam pewność, że się da. Myślę, że prawo do mieszkania dla każdego obywatela – a nie tylko zobowiązanie władz do popierania działań obywateli zmierzających do uzyskania własnego mieszkania – powinno znaleźć się w Konstytucji Rzeczypospolitej Polskiej. Nie sądzę, aby spotkało się to z oporem jakiegokolwiek ze stron zwaśnionego parlamentu.

Budownictwo mieszkaniowe kwitnie. Coraz chciwsi deweloperzy sprzedają rocznie 230 tys. mieszkań. Gdyby ich obowiązki podatkowe, które i tak mają charakter hipotetyczny, zamienić na obowiązek świadczenia w naturze w postaci oddawania 2 proc. lokali na cele socjalne w nowo wybudowanych apartamentowcach, problem bezdomności zaniknąłby w 4 lata.

Takie rozwiązanie miałyby także ogromną wartość społeczną. Po pierwsze, zaciśnięcie pasów – płacący po 17 tys. zł za metr podłogi dostrzegliby, że są pośród nas tacy, którzy mieli mniej szczęścia w życiu. Po drugie tych nieudaczników wyrwałoby się z ich naturalnego środowiska takich samych jak oni lumpów.

Mentalność bezdomnego zderzyłaby się z mentalnością klasy średniej, która ma jednak liczebną przewagę, tak że ta pierwsza w końcu by zanikła. Spasieni informatycy, bankowcy, restauratorzy i korposzczury mogliby wreszcie wziąć odpowiedzialność za coś ponad własną strefą komfortu. Zając się edukacją biedoty, dając jej codziennie dowody, że systematyczna praca, nieokazjonalna trzeźwość oraz poprawne stosunki wewnątrzrodzinne mają jednak sens.

A jeżeli nie, to może Narodowy Program Przenośnych Domków Kartonowych, które rozkładać by się mogło nocą. Za dnia demontować i ustawiać obok śmietników. Nazwalibyśmy to „Kartonetlerk 4.0”, żeby dobrze się kojarzyło i było z angielska. Konstrukcję, produkcję i dystrybucję zlecić by trzeba Ikea. Pieniądze na ten cel pozyskiwać się będzie w kościołach, na wyraźną prośbę arcybiskupa Wojciecha Polaka.

ROBERT JARUGA

WIEŚCI GMINNE I INNE

■ W miejscowości Bemowo Piskie kilka pocisków wystrzelonych z poligonu w Orzyszu (woj. warmińsko-mazurskie) celnie trafiło w blok mieszkalny, sklep spożywczo-mono-poly i plac zabaw dla dzieci. Nikt nie zginął. Dowództwo Generalne Rodzajów Sił Zbrojnych poinformowało, że to jeszcze nie wojna, tylko ćwiczenia przed wojną. Młódz wojskowa z sojuszniczej tym razem armii rumuńskiej ćwiczyła się w kanonadzie. Były to pierwsze ćwiczenia, więc nie wszystko poszło jak należy. Celem strzelania jest wyszkolenie bratniej armii w celowaniu do obiektów strategicznych pociskami, od których trup będzie się ścieleł pokotem. Wymaga to od mieszkańców Bemowa Piskiego odrobiny cierpliwości.

■ Napięta atmosfera zapanowała także w Ciekotach opodal Kielc, gdzie nieznani sprawcy ostrzelali mieszkanie w domu jednorodzinnym. Pociski podziurawiły ściany od wewnątrz, stąd przypuszcza się, że musiały wlecieć najpierw przez okno. Asp. Małgorzata Perkowska-Kiepas, oficer prasowy policji w Kielcach, utrzymuje, że za przestrzelniny odpowiedzialni są nieodpowiedzialni myśliwi, którzy polują w okolicach lasu, na pobliskiej górze Radostowej. Myśliwi utrzymują, że to niczym nieuzasadniona potwarz.

■ Również nie było bezpiecznie pod centrum handlowym Manhattan przy Alei Grunwaldzkiej w Gdańsku. Ekspłodowała budka z kebabem. Gastronomiczna przyczepa na kółkach została pofragmentowana, jakby rażona piorunem. Straż pożarna twierdzi, że wybuchła

butla z gazem. Jest nam absolutnie wszystko jedno, czy zabije nas eksplozja propanu-butanu czy granatu.

■ Regionalna Dyrekcja Ochrony Środowiska w Katowicach ogłosiła przetarg na odłów i unieszkodliwienie 200 nutrii zamieszkujących w Rybniku na terenie miejskiego rozlewiska. Odłowione zwierzątka mają zostać uśmiercone i zutylizowane albo wykorzystane na pokarm dla innych gatunków – wyjaśnił prezydent miasta Piotr Kuczera. Rybniczanie są zatrwożeni. Miejskie nutrie traktowali jak własne dzieci, swego rodzaju maskotki. Dyrekcja ochrony środowiska stoi jednak twardo na stanowisku, że nutria to gatunek inwazyjny. Nie może być pobłażania dla niekontrolowanego rozrostu jej populacji. Może zatem zamiast zabijać, rozdawać im przeterminowane?

■ Nieodpowiedzialni świętokrzyscy policjanci zatrzymali 56-letnią dróżniczkę, która jechała do pracy na przejeździe kolejowym w powiecie koneckim, mając 1,5 promila alkoholu w krwi. Stwarzała rzekomo zagrożenie dla innych użytkowników dróg. Jakie zagrożenie (z powodu braków kadrowych) powoduje niestrzeżony przejazd kolejowy w powiecie koneckim dla pociągów, samochodów wiozących dzieci do szkoły, a także innych niestrzeżonych kierowców mogących się nie zatrzymać przed torami z powodu unieruchomienia szlabanu, tego kielecka policja drogowa już nie wyjaśniła. Z braku wyobraźni.

■ W miejscowości Orzechowo w gminie Dobre Miasto, w powiecie olsztyńskim, spadł niezidentyfikowany obiekt latający. Policja twierdzi, że znajduje się na nim napis w alfabecie cyrylicznym. Może kosmici podszycują się pod Rosjan albo Ukraińców? Kto ich tam wie.

■ Regionalna Izba Obrachunkowa w Bydgoszczy w wystąpieniu pokontrolnym dla burmistrza Tucholi wskazała, że utworzenie stowarzyszenia „gospodarza świetlicy” było niezgodne

z przepisami. Wskazać należy, że katalog stanowisk pracowników samorządowych ma charakter zamknięty. Tym samym w jednostkach samorządowych nie jest możliwe dowolne tworzenie stanowisk nieprzewidzianych w obowiązujących przepisach – wyjaśniła izba. Wierni, jak ominąć ten problem. Należy w Tucholi powołać jednoosobową straż miejską, do której obowiązków należeć będzie gospodarowanie świetlicą. W Krakowie wszak to działa. Hejnalista nie jest muzykiem na etacie magistratu, tylko dzielnym funkcjonariuszem policji municypalnej.

■ W warszawskim zoo urodziła się Pietruszka. Ma 175 cm wzrostu i waży 49 kg. Gdyby była warzywem, byłoby to wynikiem naprawdę imponującym. Pietruszka nie jest jednak warzywem, bo zoo to nie ogród warzywny, tylko zoologiczny. Pietruszka jest żyrafą z podgatunku Rothschilda. I na tym zakończmy tłumaczenie.

■ Do komendy w Złotorzy przyszedł zataczający się mężczyzna wyglądający na chorego. Utrzymywał, że jego zły stan zdrowia oraz wysypka na całym ciele są wynikami zażywania białej substancji, co do której właściwości mógł zostać wprowadzony w błąd. Kupił bowiem metamfetaminę, ale substancja nie jest chyba metamfetaminą. Poprosił policję o zbadanie próbki, aby wszcząć kroki prawne przeciw nieuczciwemu dilerowi narkotyków. Idiota został aresztowany za posiadanie środków psychoaktywnych, bowiem substancja okazała się najczystsza fetą dostępną na rynku. Charakternego dilerka nikt się nie czepia.

■ Od października opłata za pobyt dziecka w żłobku miejskim w Koszalinie wzrosła z 580 do 1750 zł. W uzasadnieniu podwyżki radni zauważyli, że zwiększenie wysokości opłaty nie spowoduje obciążenia rodziców dzieci objętych opieką w żłobku miejskim, którzy będą przecież beneficjentami ustawy Ak-

tywny Rodzic. Generalnie chodzi o to, że państwo, które odebrało pieniądze samorządom, rozdaje je teraz obywatelom, którzy są łupieni przez samorządy. Perpetuum mobile.

■ Tatry zabijają. 28-letni turysta zginął na Orlej Perci w wyniku upadku z dużej wysokości – przekazało Tatrzzańskie Ochotnicze Pogotowie Ratunkowe. Obecnie ok. 30 proc. turystów w Zakopanem to muzułmanie. Nie można zapominać, że World Trade Center nie zawalił się sam.



Rys. WIDGET

■ Podgrójecy plantatorzy z zagłębia warzywno-owocowego, będącego źródłem białka roślinnego i witamin dla mieszkańców stolicy, walczą z gangami złodziei plodów rolnych. Pola lupione są z arbużów, słodkiej kukurydzy, cukinii oraz dyni. Za chwilę kradzione będą jabłka. Z bezradności policji rolnicy wystawili tabliczki: „Teren prywatny. Wstęp wzbroniony”; „Nie kradnij. Zapłać!”. Skuteczność akcji uświadamiającej jest jednak nikła.

■ Komendant miejski policji w Łodzi zgodnie z wyrokiem sądowym zapłaci kierowcy odszkodowanie w wysokości 15 tys. zł wraz z 4,6 tys. zł odsetek oraz pokryje koszty procesu wynoszące 6,1 tys. zł. Proces został wytoczony komendantowi za bezpodstawne odebranie prawa jazdy. Kierowca udowodnił

sądowi, że łódzcy policjanci nie potrafili obsługiwać radaru. W związku z tym mylnie mniemali, że przekroczył on dozwoloną prędkość, której nie przekroczył. Sąd zgodził się z argumentacją sfera. Sprawa toczyła się przez sześć lat, więc jednak odradzamy zbyt szybką jazdę w tamtym rejonie. Przez ten czas wiedza policji w sprawie obsługiwanego urządzenia pomiarowego mogła wzrosnąć.

■ Dr Piotr Ceryngier z Uniwersytetu Kardynała Stefana Wyszyńskiego, w którym prowadzone są bardzo religijne i społecznie potrzebne badania nad biedronkami, stwierdził, że okrutna wojna biologiczna między tymi owadami trwa. Od 2006 r. populacja polskich narodowych biedronek była wypierana przez nieproszoną przez nikogo azjatycką biedronkę *Harlequin ladybug*. Owe Azjatki zarażały podstępnie pasażerami swoje jaja. Nasze biedronki, zjadając owe azjatyckie jaja, umierały po dwóch tygodniach. Jak się okazało, Bóg stanął po stronie polskich biedronek, zsyłając na imigranckie plagę nicieni, które obniżają ich płodność. Walka stała się zatem bardziej wyrównana.

■ Tydzień przed drugą rundą wyborów wójta Skoroszyc rada gminy, na wniosek wójta Barbary Dybczak, uchwalila obniżkę podatku od nieruchomości. Dość poważną. Powrócono do stawek z roku 2023. Obniżka miała wejść w życie 1 czerwca. W maju kolegium Regionalnej Izby Obrachunkowej w Opolu stwierdziło nieważność uchwały. RIO uznała, że podatek gruntowego nie zmienia się w trakcie roku podatkowego. Barbara Dybczak została ponownie wójtem. Głosowało na nią 53,4 proc. wyborców. Zapowiedziała zaskarżenie stanowiska RIO na drodze administracyjnej.

RJ

PS Informacje pochodzą z całej Polski, gdzie regionalnie wyobrażenie o prawdziwej obiektywnej bywa różnicowane. Nie bierzemy odpowiedzialności za te wyobrażenia i nie poczuwamy się do skutków prawnych.

Chcesz, żeby Kościół trafił szlag? Pozwól mu robić to, co robi.

Kościół chwali się, że ponad 90 proc. Polaków to katolicy. Statystyczna radość Kościoła nie pozwala spać tym, którzy żyją z jego zwalczania, czyli antyklerykalnym aktywistom. Ci zaś aktywizują się co kilka lat i wyskakują z milionami postulatów mających zreformować tenże Kościół i zapewnić mu kolejne długie lata żerowania na owieczkach.

Laicka część naszego społeczeństwa czepia się, że Kościół chce swoje widzimisię – patrz aborcja – narzucić niewierzącym. Ale przecież dokładnie tak samo jest z ateistami usiłującymi ingerować w przepisy wewnątrzkościelne.

Ludzie nie lubiący kleru nieustannie nawołują do wyprowadzenia religii ze szkół do salek katechetycznych. Zbierane były podpisy, żeby ustawowo zakazać spowiadania się nieletnim. A co parę miesięcy kolejni antyklerykałowie wyskakują do ludzi z apelem o masowe wypisywanie się z Kościoła – o apostazję znaczy.

Podanie o niewierność

Mód na składanie księżom deklaracji niewiary w ostatnich 20 latach było kilka. Ostatnia w okolicach 2012 r., kiedy to Palikot zrobił happening i powiedział kartką ze swoim odejściem z Kościoła. Po orzeczeniu trybunału Przylębskiej akcja nawiedzania kancelarii parafialnych z własnymi bazgrołami powróciła i dzięki podtrzymywaniu jej w portalach internetowych nieustannie trwa. Ku uciesze ateistów i głośnemu śmiechowi katolickich duchownych.

Do 2015 r., żeby wypisać się z Kościoła, trzeba było przyjść na plebanie z którymś z chrześcijańskich albo z dwoma świadkami. Żeby nie utrudniać, episkopat poszedł apostatami na rękę i procedurę uprościł. Teraz wystarczy pojawić się w kancelarii parafialnej samemu z trzema kopiami wniosku o rezygnację z katolicyzmu. Kwit musi zawierać dane personalne odstępcy, datę i parafię chrztu, a także *w sposób niebudzący wątpliwości wyrażać wolę i motywację zerwania wspólnoty z Kościołem.*

Kościelna procedura każe księdzu przyjmującemu zgłoszenie nakłonić wnioskodawcę do zmiany stanowiska. Żaden normalny ksiądz się jednak z koniem kopać nie chce, przyjmuje więc papiery, a na do widzenia mówi *szczęść Boże*. Ksiądz kodeks postępowania administracyjnego każe teraz proboszczowi pchnąć dokumenty do kurii biskupiej.

Tam poprawność oświadczenia weryfikuje urzędnik biskupi i jak wszystkie dane są na swoim miejscu, to szykuje biskupowi do podpisania pismo do parafii, gdzie apostata był ochrzczony. Zawiera ono polecenie, dokonania adnotacji o wystąpieniu z Kościoła w księdze parafialnej. Cała ta kołomyja kończy się wypisaniem dokumentu będącego świadectwem chrztu z adnotacją o odejściu z Kościoła. Co prawda na odstępcę biskup może nałożyć ekskomunikę, ale z reguły nie nakłada, bo widać – w przeciwnieństwie do apostaty – ma co robić.

Księża postrzegają bowiem apostatów jako upierdliwców dysponujących nadmiarem wolnego czasu. Normalni niewierzący po prostu nie chodzą do kościoła i mają głęboko gdzieś, czy są w takich, czy innych rubryczkach spisów organizacji, z którą nie mają nic wspólnego.

Nie chodzisz – nie należysz

– Proszę pana – mówi przez telefon jeden z obdzwonionych przeze mnie, proszących o anonimowość proboszczów – miałem do tej pory w ciągu 15 lat tylko dwa takie wnioski. I nie jestem w stanie zrozumieć, po co to komu było. Moim problemem nie są apostaci, tylko ludzie, których w kościele z niedzielą na niedzielę coraz mniej. Albo dzieci w wieku komunijnym, z których co roku coraz więcej do pierwszej komunii nie idzie. Na szczęście śluby, chrzciny i pogrzeby cały czas trzymają się mocno.

Duchowny pił do tego, że bycie apostatą daje tylko tyle, że nie da się wziąć ślubu kościelnego i mieć księdza na własnym pogrzebie. Będąc apostatą, można jednak ochrzcić dziecko. Apostazja nie powoduje też, że zawarty w kościele ślub staje się nieważny. Ale, niestety, po akcie apostazji nie można zostać katolickim księdzem, zakonnikiem lub zakonnicą.

Dokument potwierdzający wypisanie się z katolicyzmu nie jest potrzebny, gdy chce się zostać buddystą, prawosławnym, protestantem czy nawet świadkiem Jehowy. Przy przystępowaniu do jakiegokolwiek religii liczy się tylko deklaracja wiary w jej doktrynę, nie zaś kwit wystąpienia z innej religii. Nie wspominając już o tym, że religie czy wyznania nie mają dostępu do baz danych konkurencji.

W internecie piszą, że dowód apostazji jest wymagany jedynie przy wstępowaniu do stowarzyszeń ateistycznych. Co też jest bzdurą, bo te obdzwonione przeze mnie, takiego wymogu nie stawiają.

Zdecydowana większość racjonalnych niewierzących doskonale z tego wszystkiego zdaje sobie sprawę. Dlatego o ile co roku jest prawie tyle chrztów, ile narodzin, to apostazji promil tego.

Skala zjawiska jest tak mała, że Kościół nie zwraca sobie nią głowy. Jeśli rocznie na diecezję przypadały 2-4 wnioski o wypisanie z katolicy-



Nie reformuj niereformowalnego

zmu, to szkoda sobie nawet nimi uzupełniać słupki w sprawozdaniach. Dlatego od 2011 r. nie ma danych zbiorczych o występowaniu z Kościoła. Są te z lat wcześniejszych, mówiące, że w latach 2006–2009 przypadków apostazji było w sumie 1057, a w 2010 r. – 459. Prawdziwy skok wniosków o wypisanie się z kościoła nastąpił w 2020 r. Wtedy tylko w diecezji poznańskiej i krakowskiej złożono niemal 900 wniosków o apostazję. A potem strumyczek zaczął wysychać. Ponieważ rok 2020 naznaczony był koronawirusowym odosobnieniem milionów ludzi, to – zdaniem księży – potwierdza to tylko tezę, że apostatą zostaje człowiek, któremu się nudzi.

Katolik do końca świata

Dlatego zamiast bawić się w zestawienia niedużych liczb, Kościół woli się skoncentrować na tym, jak co roku udowodnić, że do kościołów chodzi połowa wiernych, choć tak naprawdę człapie tam ledwie co czwarty z 92 proc. Polaków deklarujących się jako wierzący katolicy.

Religijne deklaracje Polaków to wciąż ewenement na skalę krajów cywilizowanych, ale skala niechodzenia na msze pokazuje księżom, że lada chwila i u nas będzie im niefajnie.

We Francji większość populacji jest bezwyznaniowa. Podobnie w Holandii i Nowej Zelandii. W Wielkiej Brytanii i Australii już niebawem chrześcijaństwo straci przewagę. Bezwyznaniowcy już są największą grupą „religijną” w Ameryce Północnej i większości krajów europejskich. W Stanach Zjednoczonych stanowią prawie 25 procent populacji. W ciągu ostatnich dziesięciu lat bezwyznaniowcy w Stanach przewyższyli pod względem liczby katolików, główny odłam protestantów i wszystkich wyznaniowców religii niechrześcijańskich.

Nigdzie jednak nie dochodziło do tego dzięki indywidualnym aktom apostazji. O wyniesieniu się z Kościoła ludzie głosowali nie na papierze, ale nogami: nie chodząc po prostu do kościołów. Statystycznymi katolikami żaden ksiądz czy biskup się nie naje i nie kupi nowego samochodu. Od apostatów o wiele gorszą dla duchownych są starsi ludzie, którym demencja gdzieś zapodziała portfel lub portmonetkę z pieniędzmi na tace.

Apostazja nie jest więc dla kleru problemem. Jej bezsens udowadnia przecież i to, że dla Kościoła jest ona w każdym momencie odwracalna. Oficjalne stanowisko biskupów jest takie, że *pomimo wystąpienia z Kościoła niezniszczalny charakter, jaki wyciska sakrament chrztu świętego, pozostaje niezatarty, dlatego odstępcą ma możliwość powrotu do pełnej wspólnoty Kościoła*. Żeby zatem przestać być apostatą, nie trzeba

się nawet powtórnie chrzczyć. Wystarczy w parafii złożyć pisemne oświadczenie z prośbą o przywrócenie do owczarni Pańskiej.

Żeby tylko. Wynikający z apostazji zakaz przyjmowania sakramentów może zostać zawieszony w obliczu zagrożenia śmierci. *W takiej sytuacji, podlegający karze ekskomunikacji może otrzymać sakramentalne rozgrzeszenie, przyjąć namaszczenie chorych i przystąpić do Komunii Świętej, jeżeli o to dobrowolnie poprosi i okaże postawę nawrócenia* – stoi jak byk w stanowisku Konferencji Episkopatu Polski.

Dla wielu apostatów motorem ich decyzji jest chęć umniejszenia statystycznego pogłowia polskich katolików. I tu znów kulą w płot. W oficjalnych zestawieniach po pokropku nie ma przepros. Wszak dla Kościoła, *ko raz się stał katolikiem, pozostaje nim na zawsze*.

Nie chcesz, nie posyłaj

Aktywiści non stop cisną na MEN, by wyprowadzić religię ze szkół. Po co cisną? Wystarczy przecież, żeby nie posyłali na nią dzieci i swoim własnym przykładem ośmielali do tego innych rodziców. Wiem, bo sam przerabiałem to kilkanaście lat temu, gdy po mojej deklaracji na wywiadówce, że syn nie będzie chodził na religię, podobnie postąpiła większość rodziców, którym wcześniej brakowało do tego śmiałości.

Z punktu widzenia osoby niechętniej Kościołowi

uchwalanie przepisów wyprowadzających katechezę ze szkół mogłoby być przeciwskuteczne. Religia w salkach parafialnych mogłaby stworzyć zupełnie inną atmosferę. Kościelna indoktrynacja przychodziłaby w nich księżom o wiele łatwiej niż w murach znienawidzonej przez dzieciarnię szkoły.

Dlatego zamiast wyganiać Kościół z klas lekcyjnych, trzeba pozwolić młodym ludziom i ich rodzicom dokonać sensownego wyboru. Takiego, na który wskazuje nie antyklerykalizm, ale rachunek ekonomiczny. I jak w jakiejś szkole chodzących na religię jest mało, to wystarczy zrobić zajęcia z niej w grupach łączonych, i to na pierwszej lub ostatniej lekcji. Po dwóch latach od wprowadzenia tego myku w większości szkół zamiast kilku etatów byłby co najwyżej jeden pólkat dla katechety. Ba, gdyby wzorem innych krajów europejskich pozwolić o chodzeniu na religię decydować młodym ludziom, a nie ich rodzicom, to problem religii we wszystkich szkołach średnich i większości podstawówek rozwiązałby się sam z powodu braku chętnych. Przepisy o religii na pierwszych i ostatnich lekcjach są, tyle że martwe. Wystarczy je odkurzyć. Do wyeliminowania Kościoła z polskiej szkoły nie trzeba więc uchylać nowych ustaw, czy prowadzić żmudnych negocjacji rządowo-episkopalnych.

Więcej grzechów nie pamiętam

Na początku 2023 r. burzę w kwestii spowiedzi dzieci w Kościele wywołał facet niemający z Kościołem nic wspólnego. Robert Biedroń – jak by nie było, współprzewodniczący Nowej Lewicy – na TikToku zamieścił filmik, w którym był taki spicz: „Czy opowiadasz obcej osobie, np. sprzedawczyni w sklepie, o tym, że masz fantazje seksualne na temat kolegi lub koleżanki? Albo kierowcy autobusu – też obcej osobie, o tym, że zapaliłeś szlugę? Nie! Więc dlaczego podczas spowiedzi opowiadasz o tym obcemu księdzu? Dlaczego ktoś cię do tego zmusza? Uważam, że spowiedź dzieci powinna być zakazana.

To, co mówił Biedroń, współbrzmiało z zaleceniem niemieckiej komisji ds. przeciwdziałania pedofilii w Kościele powołanej przez diecezję we Fryburgu. Tam uznano, że spowiedź przed

pierwszą komunią może być *punktem wyjścia do nadużyć seksualnych*. Uznano zatem, że nie tylko należy zrezygnować ze spowiadania ośmiu i dziewięciolatków, ale też unikać spowiadania dzieci przed osiągnięciem 15.–16. roku życia. Ksiądz organ powołał się przy tym na opinie psychologów, którzy uznali, że młodsze dzieci nie mają jasnej i świadomej wizji winy i grzechu, w związku z tym spowiadanie ich jest bezcelowe.

Po wypowiedzi Biedronia lewicowi działacze jeli szykować ustawę o zakazie procedury, do której nikt nikogo nie zmusza, bo ani przynależność do Kościoła nie jest u nas obowiązkiem, ani tym bardziej – chodzenie do spowiedzi.

Wirtualna Polska natychmiast zrobiła sondaż, w którym wyszło, że spowiedzi tylko dla osób powyżej 16. roku życia chciałoby 36 proc. ankietowanych. Przeciwnego zdania było natomiast 35 proc. respondentów. Ponieważ sondaż przeprowadzono w grupie ludzi dorosłych, i to pewnie w większości niemających dzieci w wieku szkolnopodstawówkowym, to zdania zainteresowanych nie poznaliśmy.

Swoją szansę na błysnięcie w sieci poczuł performer Rafał Betlejewski i rozpoczął zbórkę podpisów pod petycją do Sejmu RP w sprawie wprowadzenia zakazu spowiadania nieletnich poniżej 16. roku życia. Bo – jego zdaniem – spowiedź narusza intymność dziecka i jest *polem dla paskudnych nadużyć. Jeśli dorosły człowiek chce się upokarzać przed księdzem i opowiadać mu, jak się dotyka w miejscach intymnych – jego/jej sprawa. Ale dzieci przed tym uchronimy!* – pisał Betlejewski. Facet nie wpadł na to, że nie potrzeba żadnej ustawy. Wystarczy, żeby rodzice nie starali się ubogacać doznań seksualnych własnych latorośli i wypisali je z religii.

Religii, na którą i tak mają przecież wywalone. Statystycznie to właśnie oni najczęściej się rozdają. I to mimo, że ślub brali przed ołtarzem. Religiję z jej przepisami mają gdzieś. Gdyby było inaczej, to liczby rozwodów cywilnych oraz kościelnych unieważnień małżeństwa za bardzo by się od siebie nie różniły. Tymczasem w zeszłym roku do sądów okręgowych w całej Polsce wpłynęło blisko 81 tys. pozwów rozwodowych. W tym samym czasie przed sądami biskupimi zakończyło się 197 spraw, w których zapadło 175 wyroków. 146 z nich stwierdzało nieważność małżeństwa. Z tych cyferek wychodziłaby cała prawda o Kościele w Polsce. Mówiąca, że tym, co głosi religia, przejmują się jakieś żalosne promile wiernych.

TOMASZ BOROWIECKI

Z CZARNEJ DUPY SIĘ WYRWAŁO

■ Radio Maryja, w ogóle media toruńskie przeszkadzają, ponieważ pokazują prawdę. To są media, które należy zniszczyć według zamysłu lewicowego. (...) **Jest to najprawdopodobniej celowy zamysł, żeby wytworzyć wrażenie, że wszyscy za czasów PiS kradli, iż nie ma pieniędzy, ponieważ gigantyczne dotacje trafiały dla ojca Tadeusza Rydzyka, dla Radia Maryja, dla Telewizji Trwam, że nie ma w ogóle żadnych pieniędzy na to, żeby w tej chwili budzet się spał, ponieważ te pieniądze zostały rozdane, czytając „ukradzione”.**

red. Dorota Kania, Radio Maryja, 22 sierpnia

■ Czego katolicy nie rozumieją w tym, że **praktykowanie jogi może być zagrożeniem duchowym** w ich życiu? **Hindusi konwertujący na chrześcijaństwo jogi nie uprawiają.** Rezygnują z niej.

ks. Marek Radomski, X, 22 sierpnia

■ Moją tożsamość katolicką oprócz wiary w Jezusa Chrystusa i spotkania z Nim w słowie i sakramentach umacnia także stanowisko Kościoła wobec aborcji, eutanazji i homoseksualizmu. **Odwaga sprzeciwu wobec kultury liberalnej sprawia, że bycie katolikiem wymaga hartu ducha.**

ks. Janusz Chyła, X, 19 sierpnia

■ Bezpardonowy ostrzał, jaki dokonywał się od momentu powstania Radia Maryja, (...) był oczkiem w głowie nieprzychylnych środowisk lewackich i lewicowych. (...) **To przekierowanie świadomości społecznej i formatowanie nowego człowieka, którego byliśmy świadkami przez lata, dotyczy m.in. takich aspektów jak zakwestionowanie dotychczasowych systemów normatywnych – rozumienia dobra i zła; tego, co normalne i co dewiacyjne; tego, co piękne i rozwojowe, a szpetne i degradujące istotę ludzką.** Zatem uderzenie w wiarę i jej głosicieli oraz instytucję Kościoła, w tym Radio Maryja, jest uderzeniem niebawale celnym i strategicznie przemysłanym.

prof. dr hab. Jacek Kurzepa, Radio Maryja, 20 sierpnia

■ Donald Tusk jak komuniści chce ostatecznej rozprawy z Kościołem i dyżurni kaci już ostrzą topory. Dariusz Joński chce wsadzić do więzienia o. Tadeusza Rydzyka, a Roman Giertych zamknąć Radio Maryja. To metody z mrocznych czasów, gdy komuna walczyła z Kościołem. **Tusk jak Bierut zamierza zniszczyć dzieło wierzących Polaków.** Planuje zmonopolizować przekaz i podporządkować sobie wszystkie media, nawet katolickie. **Kościół jak w Chinach ma być koncesjonowany, uległy wobec autorytarnej władzy forsującej lewacką agendę.**

Zbigniew Ziobro, X, 20 sierpnia

■ **Każdy, kto dziś, w imię neoateistycznej rewolucji kulturalnej, uważa, że musi modernizować Polskę kulturą woke, odcina Polskę od jej chrześcijańskich korzeni.** A drzewo bez korzeni najpierw wydaje tylko niejadalne owoce, a potem nie wydaje ich wcale.

Kard. Gerhard Müller, Piekary Śląskie, homilia, 15 sierpnia

■ Rząd Tuska wprowadza różnego typu rewolucyjne agendy, które nie tylko mogą, ale muszą być krytykowane przez Kościół. **To jest obowiązek (...) całego duchowieństwa, które ma recenzować politykę i życie publiczne pod względem moralnym.** Mówimy tu o fundamentalnych dla Kościoła kwestiach, nie o jakichś subtelnościach. Gdyby przyjąć ten tok myślenia, że Kościół nie może oceniać polityki i życia publicznego, to oznaczałoby to zaprzeczenie całej trwającej 2 tysiące lat jego misji.

prof. Mieczysław Ryba, wPolityce.pl, 20 sierpnia

KLECHA

Katolicy protestanci

Mądrość etatu, czyli katecheci w maskach ideowców

Protestu katechetów to chyba jeszcze nie było. To znaczy już był – 21 sierpnia w Warszawie. Po górnikach i rolnikach na ulice wyszli przedstawiciele kolejnego filaru polskiej gospodarki. W ten sposób zmanifestowali swój sprzeciw wobec zmian w przepisach dotyczących religii w szkole. Zgodnie z rozporządzeniem MEN w rozpoczynającym się roku szkolnym zaistnieje możliwość łączenia na katechezie uczniów z różnych klas tam, gdzie chęć uczęszczania na te lekcje zgłosi mała liczba uczniów. Co siłą rzeczy wiąże się z mniejszą ilością pracy. Wziąwszy pod uwagę, że na horyzoncie widać ograniczenie katechezy szkolnej do jednej godziny tygodniowo, nauczyciele mają szcękę. Przeciwno planom resortu Barbary Nowackiej jest oczywiście episkopat. Rozporządzenie zaskarżyła do Trybunału Przyłębskiej pierwsza prezes Sądu Najwyższego Małgorzata Manowska.

Jak każda protestująca grupa zawodowa katecheci swój protest motywują ideami i wartościami. Strajk pod hasłem „Chcemy hajsu!” nie jest zbyt seksi dla opinii publicznej, a katecheci, czyli często absolwenci teologii, umieją łąć wodę na młyn katoprawicy. Na proteście było więc dużo tyłecz wzniosłych, co pustych słów o dziedzictwie chrześcijańskim i różnych takich. W wywiadzie dla portalu Opoka.org Dariusz Kwiecień, członek zarządu i rzecznik Stowarzyszenia Katechetów Świeckich, nie pierdolił się w tańcu. Na pytanie o ocenę rozporządzenia MEN wypalił: *Zaczę „z grubej rury” i przypomnę, że tak mówili kiedyś tylko komuniści, którzy lekcje religii ze szkół w końcu usunęli w 1961 roku, ale zajęło im to piętnaście lat. Dzisiejsza ekipa rządząca polską oświatą chce to zrobić w ciągu tej kadencji. Jestem przekonany, że gdyby nie konkordat z Watykanem, który wiąże ręce obecnie rządzącym, za rok nie mielibyśmy religii w szkole w ogóle.*

Skoro już w pierwszym zdaniu pada argument o komunie, to jest grubo. Nieźle się tam musi palić pod dupami. Człowiek zdesperowany wizją utraty pracy jest poniekąd usprawiedliwiony. Kwiecień nie zwalnia tempa w dalszej analizie: *Przypomnę, że pani ministra Barbara Nowacka była w antyklerykalnej partii Palikota i publicznie mówiła o swoim ateizmie, pani wiceministra Piechna-Więckiewicz w antyklerykalnej partii Wiosna Roberta Biedronia, a pani wiceministra Katarzyna Lubnauer była przed paru laty*



promystodawczynią i promotorką akcji „Świecka szkoła”, mającej wprost na celu usunięcie religii ze szkół. Dlatego wszystkie trzy niczym harpie rzuciły się na religię w szkole, perorując, że miejsce religii jest w kościele, a szkoła powinna być świecka – mówi Dawidowi Gospodarkowi.

Trzeba przyznać, że jak na teologa nie jest stereotypowo pizdowaty i wie, jak zacząć odpowiednie postacie. A przecież na tym polega protest. Tak że plus za bojową postawę i umiejętność wywołania reakcji. Trzeba przyznać że to nowa jakość w polskim Kościele kat.: dotychczas katecheci kojarzyli się z nudziarzami na usługach kleru. Bo katecheta to taki ni pies, ni wydra – jeszcze nie ksiądz, ale już nie normalny człowiek. A tu proszę, widmo bezrobocia budzi w nich medialne i społeczne zwierzęta. Kazik śpiewał, że artysta głodny jest o wiele bardziej płodny, i widocznie to samo jest z katechetami.

Jak to katolicy mądrale mają w zwyczaju, pan rzecznik ugryzł rzecz od dupy strony i pomylił skutki z przyczyną, zapewne nie bez udziału świadomości. Ministerstwo zmienia przepisy, bo chętnych na lekcje kościelnej indoktrynacji jest coraz mniej. To, że w MEN pracują teraz Nowacka, Piechna-Więckiewicz czy Lubnauer, to też decyzja społeczeństwa,

bo nikt ich przed wyborami nie ukrywał jak PiS Macierewicza. Rozumiemy frustrację związaną z wizją utraty wpływów na konto, ale warto zachować minimum przyzwoitości. Chyba że o tym na religii nie uczą.

Frustracja katechetów jest podwójna. Sierpniowy protest na Placu Zamkowym zorganizowało Stowarzyszenie Katechetów Świeckich, a księża nie wspierali go zbyt gorliwie. Nic dziwnego – stowarzyszenie powstało niejako w opozycji do kleru i ma za zadanie walczyć o niepodległość nauczycieli religii w cywilu.

Na 29 tys. katechetów aż 17 tys. to świeccy. Choć mają przewagę liczebną, są totalnie podporządkowani władzy kościelnej. O tym, kto będzie uczył religii w szkole, decyduje lokalny biskup, program nauczania ustala i zatwierdza kler.

Biskup w każdej chwili może cofnąć katechecie tzw. misję kanoniczną i nauczyciel jest w czarnej dupie, jeśli nie ma planu B. Czasem wystarczy, że brakuje etatu dla księdza, a powód, by odwołać „profana”, się znajdzie. Przed kilku laty głośna była sprawa katechетки, która została zwolniona ze szkoły po tym, jak zaszła w pozamałżeńską ciążę i biskup cofnął jej misję kanoniczną. Gdy poinformowała kurię o rozwodzie i ciąży z nowym partnerem, najpierw zaproponowano jej ultimatum: albo pół etatu, albo „Bóg zapłać”. Pół etatu to mniejsze świadczenia. Nie zgodziła się na propozycję, więc jej podziękowano. *Nie mogliśmy powierzyć jej prowadzenia katechezy, bo nie spełnia oczekiwań moralnych. Konkubinat jest barierą nie do przeskoczenia – tłumaczył wówczas „Wyborczej” szef wydziału katechetycznego krakowskiej kurii.*

Nic więc dziwnego, że na proteście świeckich katechetów część manifestantów była zamaskowana. Z otwartą przyłbicą podskakują do „komuchów”, ale strach ich oblatuje na widok biskupa.

ŁUKASZ PIOTROWICZ
lupiotrowicz@gmail.com

WIEŚCI Z KRUCHTY

➤ 16 sierpnia na ul. Kościelnej w Kleczewie (woj. wielkopolskie) kierowców oraz przechodniów zaniepokoił samochód jadący zygakiem. W wyniku obywatelskiej interwencji pojazd zatrzymano i wezwano patrol drogówki. Okazało się, że za kierownicą fury siedział proboszcz lokalnej parafii, który w wydychanym powietrzu miał blisko trzy promile. Naprany klecha stracił prawo jazdy, a policja wszczęła postępowanie w kierunku prowadzenia pojazdu w stanie nietrzeźwości. Sprawą zajmie się sąd. Duchownemu za jazdę pod wpływem grożą trzy lata pierdzenia w pasiak.

➤ W niebywałych rozmiarów konsternację wprowadził Telewizję Republika prezes Poczty Polskiej Sebastian Mikosz, który zapowiedział remanent handlowego asortymentu placówek, w tym usunięcie dewocjonalików. Modlitewniki, różańce i inne gadzety o tematyce religijnej znikną z poczty, gdyż jak stwierdził Mikosz, wywoływały pewną memiczność i ośmieszenie. Telewizja Republika, chcąc uświadomić prezesowi poczty, jak wielki popełnia błąd, zorganizowała na swojej stronie internetowej ankietę, w której zapytała telewidzów, czy popierają usunięcie dewocjonalików z punktów pocztowych. 90 proc. respondentów odpowiedziało: *tak*. TV Re-

publika nie wytrzymała ciężaru demokracji i prędko usunęła ankietę. Jak widać, katolików nie trzeba opytowywać, chętnie robią to sami.

➤ Proboszcz parafii św. Jana Pawła II w Nowym Sączu dostał nerwowej obstrukcji na wieść o fakcie, iż jednym z punktów pikniku dla dzieci, odbywającego się na boisku w sąsiedztwie kościoła, są zajęcia z jogi, która według klechy *nie jest neutralna du-*



chowo. Św. Jan Paweł II napisał w książce „Przekroczyć próg nadziei”: „Wypada przestrzec chrześcijan, którzy z entuzjazmem otwierają się na rozmaite propozycje pochodzące z tradycji religijnych Dalekiego Wschodu, a dotyczące np. technik i metod medytacji oraz ascezy. (...) Apelujemy więc do rodziców o mądrość i rozwagę” – napisano w mediach społecznościowych parafii. My również apelujemy do rodziców, ale by trzymali dzieci z daleka od Kościoła i księży.

➤ Jak informują media, śledztwo wszczęte przeciwko oszczercom Tymoteusza Szydło, eksksiędza i syna byłej premierzycy, utknęło w martwym punkcie. Przypomnijmy: w sierpniu 2019 r. ks. Szydło poprosił biskupa bielsko-żywieckiego Romana Pindela o bezterminowy urlop (w grudniu ostatecznie zrezygnował z posługi kapłańskiej). Jednocześnie jego prawnik Maciej Zaborowski wydał oświadczenie, w którym zdementował plotki, iż powodem tej decyzji było zbruchacenie niewiasty. Adwokat zapowiedział wtedy pozwy wobec autorów wszelkich publicznych (czyli internetowych) komentarzy sugerujących rzekome ojcostwo księdza Tymoteusza. Sprawą zajęła się Prokuratura Okręgowa w Warszawie, która pod okiem ministra Ziobry tak zaangażowała się w obronę dobrego imienia syna Beaty Szydło, że śledczy, ścigając autorów internetowych wpisów, zwrócili się o pomoc do władz USA, by uzyskać od firmy Facebook Inc. dane umożliwiające identyfikację użytkownika profilu. Śledczy ustalili także dwóch potencjalnych świadków zamieszkujących na stałe na terytorium Wielkiej Brytanii i skierowali wniosek do władz sądowych Zjednoczonego

Królestwa o ich przesłuchanie. Jak się okazuje, na chwilę obecną nie są planowane inne czynności, a postępowanie pozostaje w zawieszeniu, bo wciąż nie wpłynęły wszystkie materiały od zagranicznych pomocy prawnych. Mamy przecucie graniczące z pewnością, że opieszałość Amerykanów i Brytyjczyków nie wynika ze złośliwości, a z faktu, że wciąż nie mogą się prześcigać śmiać z „powagi” sytuacji.

➤ Sąd Okręgowy w Tarnobrzegu skazał na karę roku pozbawienia wolności w zawieszeniu na trzy lata 72-letniego Stanisława K., emerytowanego księdza, byłego proboszcza z Domostawy w woj. podkarpackim, za przytłucenie 434 tys. zł z parafialnego konta. Sprawa wyszła na jaw w sierpniu 2022 r., gdy w mediach społecznościowych ktoś opublikował skan wydruku bankowego wskazujący, że z konta parafii Matki Bożej Królowej Polski w Domostawie dokonano dwóch przelewów (po milion złotych każdy) na prywatne konto proboszcza. Stanisław K. bronił się, twierdząc, że była to jego prywatna kasa, którą wcześniej przełał na konto parafii, żeby kupić obligacje. W toku śledztwa wykazano, że przez wiele lat pełnienia przez księdza posługi duszpasterskiej w Domostawie pomiędzy kontem parafii a prywatnym kontem klechy pieniądze w obie strony przelewano nagminnie. Kreatywny księgowy w koloratce oprócz kary w zawiasach został zobowiązany przez sąd do zwrotu przywłaszczonych kwot na rzecz parafii. Wyrok jest nieprawomocny.

KLECHA

Wieści na pożytek pasterzy i owieczek czerpiemy z prasy lokalnej.

Nie oddamy wam Telewizji Trwam!

Koń kopie się z Rydzykiem

Roman Giertych kontra Tadeusz Rydzyk – taki konflikt jeszcze kilkanaście lat temu byłby w Polsce nie do pomyślenia, ale żyjemy w kraju nieograniczonych możliwości. Najbardziej znany polski mecenas wszedł na wojenną ścieżkę z najbardziej znanym zakonnikiem i radiowcem. Trudno zdecydować, do kogo czujemy mniej sympatii, a komu bardziej kibicujemy w tym pojedynku.

Nikogo nie trzeba przekonywać, że z Rydzykiem dzieli nas prawie wszystko. Zapowiedź rozliczenia jego obficie chłepczących z państwowego koryta inicjatyw w pierwszym odruchu budzi podziw i uznanie dla rządu. Po tylu latach bezkarności działalność medialnego magnata z Torunia zostanie ukrócona, nienależne pieniądze zabrane, a przekaz płynący z Radia Maryja wygłuszony. Pięknych czasów dożyliśmy – chciałoby się zakrzyknąć. Ale im dłużej nad tym myśleć, tym sprawa staje się mniej oczywista.

Zielone światło

do rozliczenia Rydzyka dał Donald Tusk. 16 sierpnia podczas konferencji prasowej w Karczewie odniósł się do sprawy Funduszu Kościelnego, zatrącając przy tym o redemptoryście z Torunia. *Chodzi o takie rozwiązania, które przede wszystkim wyeliminuje to bardzo często patologiczne finansowanie i te imperia finansowe, bo kościoły nie są od tego – a szczególnie jeden ksiądz dyrektor – aby gromadzić gigantyczne kapitały i prowadzić wielkie biznesy – mówił premier.* Wtórowali mu inni politycy Koalicji Obywatelskiej. Tusk nie mówi nic, co mu się politycznie nie opłaca, a zatem klimat społeczny musi sprzyjać atakowaniu zakonnika. Nawet spora część elektoratu PiS nie pała do Rydzyka miłością, bo zauważa pazerność i wątpliwą moralność kleru. Rydzyk jest obecnie pochyłym drzewem, na które wszyscy skaczą.

Najdalej w swoich fantazjach na temat rozliczenia Tadeusza Rydzyka poszedł Roman Giertych. Domaga się on mianowicie zabrania koncesji Radiu Maryja i znajduje ku temu prawne podstawy. *Czas ten spór rozstrzygnąć, a jego rozstrzygnięcie musi być jedno: porządne śledztwa prokuratorskie wokół wszystkich dotacji na Radio Maryja i odebranie koncesji za łamanie konkordatu – napisał poseł KO na portalu X.* W radio tym od lat organizowana jest jawna propaganda tej partii politycznej, która w danym czasie zapewnia najlepsze finansowanie prywatnych instytucji o. Rydzyka (jaką jest np. Fundacja Lux Veritatis będąca właścicielem Telewizji Trwam). Skromne szacunki wskazują, że w ciągu ostatnich 8 lat Państwo dofinansowało instytucje o. Rydzyka kwotą kilkuset milionów złotych. Z samego Funduszu Sprawiedliwości było tych milionów kilkanaście. W zamian największe radio katolickie zamieniło się w jawną, bezrefleksyjną i natrętą tubę propagandową PiS. Dowodów na to, że w tej rozgłosni była prowadzona taka oczywista propaganda, jest bez liku – twierdzi Giertych. Dariusz Joński prorokuje z kolei w RMF FM: *Mam nadzieję, że w przypadku Rydzyka nie tylko mogą się pojawić zarzuty karne, ale i konfiskata majątku. Jest z czego i za co ściągać.*

Wojna na listy

trwa w najlepsze. Na stronie internetowej Radia Maryja opublikowano list otwarty do mecenasu Giertycha, który rozesłano do kilkudziesięciu redakcji. Mamy nadzieję, że nie znaleźliśmy się w tym gronie tylko przez niedopatrzenie. Redakcja Radia Maryja domaga się od swojego dawnego przyjaciela, żeby wziął na wstrzymanie. *Trudno zrozumieć, że adwokat zamieścił w publicznej przestrzeni tak kłamliwą, obraźliwą oraz zniekształcającą wpis – piszą członkowie zespołu radia, które przecież wielu rzeczy nie rozumie.* Kolejny list otwarty w tym samym duchu skierowali do posła Jońskiego i znowu rozesłali go do wielu redakcji z pominięciem „NIE”. Coraz trudniej uwierzyć, że to przypadek.

Giertych odpowiedział bezpośrednio Rydzykowi, że on – wbrew temu, co mu sugerują – nic do katolików nie ma, bo sam nim jest, a słuchaczy Radia Maryja uznaje za ofiary wieloletniej manipulacji i działań księdza utożsamiających katolicyzm ze samym sobą do tego stopnia, że swój wizerunek umieścił ksiądz na witrażu w budowanym przez siebie kościele. Radio Maryja, niby to bez okazji, przypomniało w mediach społecznościowych: *Roman Giertych ma status podejrzanego w śledztwie dotyczącym wyprowadzenia dziesiątków milionów złotych z giełdowej spółki Polnord. Polityk Koalicji Obywatelskiej po blisko czterech latach stawiał się wreszcie w prokuraturze, ale odmówił składania wyjaśnień. Śledczy wystali mu ponad sto wezwań.* I tak sobie dyskutują.

Jako się rzekło, atakowanie Rydzyka dzisiaj nie należy do zadań szczególnie niebezpiecznych czy wymagających heroizmu. W rankingach słuchalności Radiu Maryja przypada ok. 2 proc. słuchalności, nie jest to więc medialny gigant. Pisowcy mają swoje media, choćby Telewizję Republikę czy stację braci Karnowskich, gdzie odbywa się porządne walenie w obecny rząd zapewniające odpowiednie emocje, do jakich przyzwyczail ich Jacek Kurski w czasie swoich



ILUSTRACJA: KRZYSZTOF OLEJNIK

rządów w TVP. Na tym tle media Rydzyka wypadają dość blado, a ich przekaz jest zbyt nudny i monotony dla pisowskiego betonu.

O ile rozliczenie Rydzyka i jego „dzieł” pod kątem ssania publicznych pieniędzy jest ze wszech miar słuszne, o tyle straszenie zabranianiem koncesji wygląda na

osobistą zemstę Giertycha

na Rydzyku i realizację jego zapędów cenzorskich. Giertych lubi straszyć pozwanymi i rozliczaniem tych, którzy nie podobają się jemu lub jego aktualnym sojusznikom. A ci, jak wiemy, co jakiś czas się zmieniają. Mecenas nie chce przy tym częstotliwości Radia Maryja przywrócić na rynek, tylko widziałby tam miejsce dla innej redakcji katolickiej, ale takiej, która mu bardziej pasuje. Giertych nie kryje, że Rydzyk jest jego osobistym wrogiem. Mieli swój miesiąc miodowy i burzliwy rozwód, kiedy to redemptorysta wybrał Kaczora. Roman Giertych chętnie opowiada o tym, jak dyrektor Radia Maryja miał mu kiedyś grozić, że go zniszczy, a także że chciałby go widzieć na katafalku. Jeżeli osobiste animozje czy uprzedzenia osób będących u władzy miałyby decydować o rynku medialnym, to tygodnik „NIE” dawno by nie istniał. Przypomnijmy sobie choćby sytuację z wycofaniem naszego pisma z Orlenu decyzją prezesa Daniela Obajtki, który nie pałał do nas przesadnie pozytywnymi uczuciami.

Można się zżymać, że to przecież tylko Rydzyk – szkodnik, który tyle zła wyrządził, że zakneblowanie go uczyniłoby Polskę piękniejszą. Tyle że jeśli ma się to odbyć ze względu na widzimisię adwokata premiera, to warto się zastanowić, kto może być następny. Oczywiście nie spodziewamy się, że ojciec dyrektor wzruszy się tym aktem solidarności i sądzimy, że gdyby „NIE” znalazło się w analogicznej sytuacji, to Rydzyk i jego fani klaskaliby uszami. Obrońcami wolności słowa stają się tylko wówczas, gdy sami są zagrożeni. Ale między innymi tym się od nich różnimy.

MATT KOBOSKO

WIARA CZYNI CZUBA

1. Prezydent Zelenski podpisał ustawę zakazującą działalności Ukraińskiej Cerkwi Prawosławnej. Cerkiew na Ukrainie, w fascynującej rekonstrukcji „Żywotu Briana”, podzieliła się na Ukraińską Cerkiew Prawosławną i Cerkiew Prawosławną Ukrainy. Ta pierwsza wchodzi w skład Patriarchatu Moskiewskiego i jest w kraju od tysiąca lat; druga otrzymała autokefalię od patriarchy Konstantynopola Bartłomieja pięć lat temu. Zakazana UCP ma 6 mln wyznawców i 8 tys. parafii, których majątek zostanie zarekwirowany przez państwo, jeśli władze wykryją choćby jeden z pięciu zdefiniowanych w prawie *oznak powiązania z Rosyjską Cerkwią Prawosławną* – raduje się deputowany RN Wołodymyr Wjatrowycz. To były szef ukraińskiego IPN, znany szerzej jako autor dzieła o rzezi wołyńskiej zatytułowanego „Druga wojna polsko-ukraińska”.

2. Katolicki portal informacyjny CNA oferuje 5 *interesujących faktów na temat świętej Teresy z Kalkuty*. Dowiadujemy się otóż, że poświęciła swoje życie wierze w wieku 12 lat; że kiedyś musiała zebrać o jedzenie; że odpowiedziała na „wezwanie w wezwaniu”, czyli już jako zakonnica otrzymała wielkie pragnienie służenia najbardziej w Indiach; że otrzymała ponad 120 wyróżnień i nagród; i że ma lotnisko nazwane jej imieniem. CNA taktownie nie wspomina, że była psychopatką, którą podniecał cudzy ból, że lekarze musieli przemycać do jej hospicjów środki przeciwbólowe dla konających na raka, że swoim zakonnicom kazala golić głowy i się biczować, a także że kolosalne datki na swój zakon wykorzystywała do celów niemających nic wspólnego z pomaganiem cierpiącym. Ot, drobne przeoczenie.

3. Fabio Marchese Ragona, autor dzieła zatytułowanego „Egzorcysta przeciwko szatanowi”, opowiada, jak papież obcowali z szatanem. Jan Paweł II, ale także Benedykt XVI i Franciszek, wspierali postugę wybawienia poprzez swoje wystąpienia przeciwko działaniu złego – wyjaśnia Ragona. Franciszek opowiedział mu w wywiadzie, że on również został zaatakowany przez diabła. Albowiem *diabeł atakuje wszystkich, ale przede wszystkim hierarchów Kościoła. Kusił Jezusa i to samo robi z papieżami i biskupami*. Ragona ilustruje to historią zakonnic, która została uwolniona z diabelskiego opętania, ale wcześniej, podczas egzorcyzmów, demonicznym głosem wyznała, że diabeł nienawidzi Franciszka: *Widziałeś wszystko, przez co przeszedł ten Argentyńczyk? Ale on nie odchodzi, jest silny, zbyt silny dla mnie*. Trzecia dekada XXI wieku.

4. Brown-Forman Corporation, producent whiskey Jack Daniel's, spietrał przed prawackim świrem nazwiskiem Robby Starbuck i ogłosił, że rezygnuje z programu DEI – różnorodności, równości i integracji – zmierzającego do uwrażliwienia firmy na dyskryminację ze względu na m.in. nieheteronormatywność. Dotychczas 10 proc. wynagrodzenia kadry kierowniczej było powiązane z realizacją celów DEI; firma uczestniczyła też w corocznym rankingu oceniającym środowiska pracy przyjazne dla osób LGBTQ i starała się pozyskać większą liczbę dostawców z mniejszości. Teraz te wszystkie zasady poszły do kosza. *Musiało ich zaalarmować, że przeglądamy strony LinkedIn ich pracowników. Wygrywamy i jeden po drugim przywrócimy zdrowy rozsądek w korporacyjnej Ameryce* – raduje się Starbuck. Wielki, kurwva, sukces.

5. Profesor pomiarów mechanicznych i termicznych na Uniwersytecie Padewskim Giulio Fanti odkrył, że Jezus umarł na zawal. Prof. Fanti ma już 50 publikacji na temat Całunu Turyńskiego, ale nie ustaje w wysiłkach. Teraz odkrył na nim *wysoki poziom mocznika, który sugeruje nieprawidłowe funkcjonowanie lub zablokowanie nerek, co jest stanem zgodnym z intensywnym biczowaniem w okolicy nerek, mogącym spowodować niedokrwistość mikrocytarną, która z kolei sugeruje ekstremalne trudności Jezusa w wymianie tlenu, co najprawdopodobniej spowodowało niezwykle ciężki oddech. Jezus musiał znacznie przyspieszyć oddychanie, a w konsekwencji zwiększyć częstotliwość uderzeń serca, co spowodowało atak serca jako główną przyczynę śmierci*. Przypomnijmy, że badanie radiowęglowe datuje całun na lata 1260–1390.



Rys. WIDGET

Subiektywny przegląd konwencji demokratów

DNC Greatest Hits

Sędziłam zeszły tydzień na oglądaniu Narodowej Konwencji Demokratów. Różnica czasu wynosi siedem godzin, więc przez cztery dni wstawałam o czwartej nad ranem (tak, wiem, że mogłam nagrać, ale z puszki nie smakuje tak samo). Po zwieńczającym imprezę wystąpieniu Kamali Harris w piątkowy świt poczułam się, jakby właśnie przestali nadawać mój ukochany serial. Poważnie: było to bodaj najbardziej fascynujące polityczne widowisko, jakie zdarzyło mi się obejrzeć.

Konwencja, odbywająca się w mieszczącej kilkadziesiąt tysięcy widzów hali United Center w Chicago, miała być pokazem siły i jedności partii, która jeszcze parę tygodni temu była podzielona i pogubiona. Po republikańskiej konwencji z połowy lipca, rozpoczętej dwa dni po spartolonym zamachu na kandydata, komentarze – także ze strony zdecydowanie nieprzychylnych mu mediów – były jednoznaczne: Partia Republikańska to dziś partia Donalda Trumpa. Skończyły się podziały i wątpliwości, republikanie stoją murem za czerwonym krawatem. Demokraci wyraźnie chcieli uzyskać ten sam efekt: zgromadzić się wokół Kamali Harris, emanować determinacją i entuzjazmem, zmotywować zwolenników do pracy kampanijnej, uwieś niezdecydowanych.

Mam nieodparte wrażenie, że to się udało.

Mam też oczywiście zasadnicze lewackie wątpliwości co do tego, czy proces wyborczy powinien wyglądać jak koncert rockowy – ale to rozważania nieco nie na temat. W ramach obowiązujących amerykańskich standardów – był to niewątpliwie koncert pęd gwiazd.

A wśród nich – moich ulubionych. Takich, których fanką jestem od lat, i takich, o których istnieniu nie miałam pojęcia. Poniżej subiektywny wybór największych przebojów konwencji, o których nie przeczytacie w innych polskich gazetach. Z pominięciem tych, które zostały szeroko omówione – samej kandydatki, Bidena, Obamów, Clintonów.

Bernie nie klęka

Najważniejszy był oczywiście Bernie Sanders. Mój osobisty idol, amerykański socjalista, facet, który mógłby wygrać z Trumpem w 2016 r., gdyby elita partii nie wpadła w histerię i nie uznała, że lepiej poprzeć Hillary Clinton, która szanse co prawda miała średnie, ale za to była ucieleśnieniem establishmentu.

Sanders – co przysnążę z niejakim bólem – wypadł dość blado; ten koncertowo-meczowy wystrój „na bogato” wyraźnie nie jest jego sceną. I nie odpowiedział do końca na oczekiwania za-kochanej w Kamali sali, albowiem mówił głównie o programie – swoim, nie Harris, która nie do końca zgadza się z nim w kilku kluczowych kwestiach, takich jak powszechne ubezpieczenia zdrowotne (*musimy dołączyć do reszty uprzemysłowionego świata i zagwarantować opiekę zdrowotną wszystkim obywatelom*), czy też wyrugowanie wielkich pieniędzy z polityki i odcięcie korporacji od sponsorowania kampanii. Amerykański komentator interpretuje ten rozjazd jako sprzyjający Kamali Harris, która przez wielu wahających się wyborców uważana jest za zbyt liberalną (co w USA oznacza postępowość i lewicowość, nie kult wolnego rynku). Donald Trump systematycznie zarzuca Kamali, że jest *bardziej liberalna niż Bernie Sanders*, co czyni z niej radykalną lewicową wariację. Zademonstrowanie kłamliwości tego stwierdzenia było zapewne jednym z celów Berniego, leżących także w interesie Kamali.

Z drugiej wszakże strony – ton używany przez Sandersa jest bliski narracji Harris: *Potrzebujemy gospodarki, która pracuje dla nas wszystkich, nie tylko dla klasy miliarderów; kiedy 60 proc. obywateli żyje od wypłaty do wypłaty, górny 1 procent ma dobrze jak nigdy. I ci oligarchowie mówią nam, że nie powinniśmy opodatkowywać bogatych, nie powinniśmy walczyć z nadymaniem cen, nie fundować seniorom dentystów, okularów i aparatów słuchowych, nie zapewnić emerytur tym, których nie mają z czego żyć. Mam dla nich baaardzo złą wiadomość: to jest dokładnie to, co zrobimy.*

Największą owacją przyjęte zostało wezwanie do zakończenia wojny w Gazie, natychmiastowego zawieszenia broni i sprowadzenia zakładników do domu. Gaza jest do pewnego stopnia miękkim podbrzuszem demokratów; wielu demokratycznych wyborców – nie tylko środowiska muzułmańskie, ale także np. postępową młodzież – bardzo źle ocenia kunktatorskie podejście administracji Bidena do ludobójstwa uprawianego przez rząd Netanjahu. Kamala Harris usiłuje balansować między dwiema trudnymi do pogodzenia koncepcjami: *prawem Izraela do obrony* i *prawem Palestyńczyków do życia*. Wychodzi jej to, szczerze mówiąc, średnio – stąd wielotysięczne protesty w Chicago w czasie konwencji – ale na pewno lepiej niż Bidenowi. Głos Sandersa, który jest Żydem, potomkiem ofiar holokaustu, i który powtarza, że *sprzeciw wobec polityki prawicowego rządu Izraela nie jest antysemityzmem* – ma w tej sprawie wielką wagę.

Omlet, strup, czapa

Drugą z moich ulubionych gwiazd konwencji była towarzysząca Berniego z lewego skrzydła partii, nowojorska kongreswoman Alexandria Ocasio-Cortez: zjawiskowej urody i charyzmy Latynoska, działaczka społeczna z Bronxu, która w prawyborach w 2018 r. wysadziła z siodła konkurenta sprawującego ten mandat od końca XX w. *Sześć lat temu przyjmowałam zamówienia na omlety jako kelnerka w Nowym Jorku, nie miałam ubezpieczenia zdrowotnego, moja rodzina walczyła o to, żeby nie odebrali nam dachu nad głową, nie stać nas było na płacenie rachunków – zaczęła. – Odkąd zostałam wybrana, republikanie atakują mnie, mówiąc, że powinienam wrócić do pracy w barze. Jestem na to gotowa, każ-*

dego dnia, bo nie ma nic złego w pracowaniu na życie. Po czym AOC jebnęła z wdziękiem w Trumpa, który jak wiadomo, sprzedadby ten kraj za dolara, gdyby to znaczyło napchanie jego własnych kieszeni i posmarowanie kolesiom z Wall Street. Dalej było sporo o korporacyjnej chciwości i klasie średniej – co w USA oznacza po prostu ludzi ze stałym zatrudnieniem i dochodem wystarczającym na przyzwoite życie; niekoniecznie, jak u nas, aspiracje do elity. Nie wiem, jak wy, ale ja mam dość słuchania o tym, jak marny cwaniak, zwalczający związki zawodowe, uważa się za większego patriotę niż kobieta, która każdego dnia walczy o wyrwanie ludzi pracy spod buciora chciwości depczącej nasz styl życia. Widownia wyraźnie dała do zrozumienia, że podziela tę opinię.

Z kolei moją nową gwiazdą został Shawn Fain, przewodniczący milionowego związku pracowników przemysłu motoryzacyjnego UAM. Fain, elektryk z Chryslera, jest pierwszym szefem UAM wybranym bezpośrednio przez członków związku, znanym z twardego podejścia do pracodawców i strategii opierającej się na współpracy z prowiązkowymi politykami. Pod jego kierownictwem UAM zorganizował wielki i skuteczny strajk przeciwko trzem największym korporacjom samochodowym; Joe Biden był pierwszym w historii urzędującym prezydentem USA, który stanął ze strajkującymi związkowcami i przemówił do nich przez megafon. Fain, niepozorny lisyjący facet po pięćdziesiątce, absolutnie porwał salę, witając *klasę robotniczą, która porusza ten świat*.

Te wybory sprowadzają się do jednego pytania: po czyjej jesteś stronie – mówił, nawiązując do kultowej piosenki „Which Side Are You On?”, powstałej w 1931 roku podczas strajku górników w Kentucky; nieoficjalnego hymnu ruchu związkowego w USA. I nie pozostawił żadnej wątpliwości co do tego, że związki nie są po stronie

piesków kanapowych miliarderów, jak nazywał Trumpa z Vance’em. Naszą jedyną nadzieją jest frontalny atak na korporacyjną chciwość, która zmienia robotniczą krew, pot i łzy w dywidendę na Wall Street – ogłosił, po czym zdyął marynarkę i odsłonił koszulkę z hasłem Trump is a scab. Scab dosłownie oznacza strup, ale jest też szczególnie obraźliwym określeniem łamistrajka. Trump chce obciążyć odpowiedzialnością za frustrację klasy robotniczej rasę, LGBT, zdesperowanych ludzi na granicy – tak żebyśmy nie skupiali na naszym jedynym prawdziwym wrogu: korporacyjnej chciwości. Bogaci myślą, że jesteśmy głupi, ale klasa robotnicza Ameryki widzi, jak jest – zakończył. Dajcie nam kilku takich związkowców i polski rynek pracy zmieni się radykalnie.

Innym niespodziewanym przebojem konwencji była piątka z Central Parku. To grupa czarnoskórych mężczyzn, którzy w 1989 r. zostali skazani za napad i gwałt w Central Parku. Antron McCray, Kevin Richardson, Yusuf Salaam, Raymond Santana i Corey Wise mieli między 14 a 16 lat i pecha, że znaleźli się w złym miejscu w złym czasie. Przesiedzieli 7 do 13 lat, choć nie było przeciwko nim żadnych dowodów, DNA ich wykluczało, a przyznawanie się do winy policjanci wydłuzili od nich, obiecując przerażonym dzieciakom, że jak tylko powiedzą, co przesłuchujący chcą usłyszeć, będą mogli pójść do domu. W 2002 r. do napadcy przyznał się seryjny gwałcieł Matias Reyes; DNA potwierdziło, że to on był sprawcą. Szczególny polityczny wymiar tej historii – poza oczywistym rasizmem amerykańskiego wymiaru sprawiedliwości, w którym ubodzy kolorowi podsądni nie mają szans – podkreśla fakt, iż w 1989 r. Donald Trump wykupił w nowojorskich gazetach całostronicowe ogłoszenie, zwywające do przywrócenia kariery śmierci i de facto powieszenia pięciu niewinnych nastolatków.

Serendipity

Spodziewanie ważnym – ale nie spodziewanie udanym – akcentem było wystąpienie Tima Walta, kandydata na wiceprezydenta, który jest po prostu, z braku lepszego słowa, uroczy. Bezpretensjonalny, niezsutarty standardami amerykańskiej klasy politycznej, do której trafił dopiero po czterdziestce, kongresman z tylnych ław, sześć lat temu wybrany na gubernatora Minnesoty. Walt robi znakomite wrażenie; poza tym, że jest równolatkami Kamali Harris, a wygląda jak jej ojciec – co nigdy nie szkodzi kobiecie w polityce – jest facetem, o którym Barack Obama trafnie powiedział, że *jego flanelowe koszule nie są pomysłem jakiegoś politycznego konsultanta, są z jego szafy i sporo przeszły*. Walt jest trudny do zaatakowania, kiedy mówi, że Minnesota pod jego władzą zapewniła wszystkim dzieciom śniadanie i lunch w szkole; brzmi jak trener futbolu – jedna z ukochanych postaci amerykańskiej kultury – kiedy mówi *mamy 76 dni, to jest nic, będzie pora, żeby spać, kiedy będziecie martwi*; jest przekonujący, gdy zapowiada: *zbudujemy kraj, gdzie pracownicy są najważniejsi, opieka zdrowotna i mieszkanie to prawa człowieka, a rząd nie wchrzania się do twojej sypialni*.

Jest takie uroczę angielskie (aczkolwiek amerykańskie) słowo: „serendipity”. Oznacza ono niezwykle zrzędzenie losu, szczęśliwy zbieg okoliczności, którego efekty są pozytywne i zaskakujące. Gdyby Joe Biden nie był dementem, gdyby wziął odpowiednie leki przed debatą z 27 czerwca, gdyby Trump nie budził paniki, gdyby fundusz wyborczy demokratów nie miał etykiety „Biden-Harris” i mógł być przekazany komuś innemu...

**Gdyby nie ta ko-
incydencja zda-
rzeń, jedna
z dwóch wielkich
amerykańskich
partii w życiu by
nie wystawiła na
prezydenta
ciemnoskórej
kobiety, będącej
pół Jamajką, pół
Hinduską; ucho-
dzącej za ultrali-
beralną bez-
dzietnej
feministki,**

która wyszła za mąż dopiero koło pięćdziesiątki i zachowała panieńskie nazwisko. Ci, którzy wierzą w los, mogą odnieść wrażenie, że okoliczności konspirowały, żeby doprowadzić do najbardziej nieprawdopodobnego efektu.

W tym miejscu muszę uczynić zwierzenie: Kamala Harris i Tim Walt wywołują u mnie głęboki dysonans poznawczy.

Z jednej strony – uważam USA za imperium zła; wierzę, że im gorzej dla Ameryki, tym lepiej dla świata. Im słabsze, głupsze, gorzej rządzone są Stany – tym słabszy ich dyktat, a zatem tym więcej miejsca dla alternatywnych punktów widzenia, debaty, negocjowania interesów różnych regionów. Dodatkowo, wsparcie USA dla Ukrainy – którego kontynuację zapowiada Harris i katgorycznie odrzuca Trump – nie daje jej żadnej szansy na militarne zwycięstwo nad Rosją (bądźmy poważni), ale za to przedłuża wojnę, która dawno już powinna była zakończyć się przy stole rokowań. Z tego punktu widzenia, powinienam trzymać kciuki za Trumpa.

Z drugiej wszakże: co poradzę, że zakochałam się w Kamali Harris?

AGNIESZKA WÓŁK-LANIEWSKA

Pedałowanie po damsku

Dla mnie Katarzyna Niewiadoma jest polskim sportowcem roku.

Trudno porównywać sukcesy w różnych dyscyplinach sportu. Ktoś powie, że cenniejsze od zwycięstwa Katarzyny Niewiadomej w Tour de France jest złoto z Paryża biegającej po pionowej ścianie Aleksandry Mirosław, ktoś inny wyżej ceni osiągnięcia Igi Świątek albo żuźlowca Bartosza Zmarzlika. Oczywiście wszyscy oni są godni podziwu. Jeśli chodzi o Katarzynę Niewiadomą ważne jest jednak nie tylko wygranie kolarskiego Tour de France, ale styl, w jakim to zrobiła. Już teraz głosuję więc na Kasię Niewiadomą (pisząc zdrobniale „Kasia”, wcale nie próbuje się z nią spoufalać, sama tak o sobie mówi) w plebiscycie „Przeglądu Sportowego”, nie bacząc na to, a może właśnie dlatego, że o mało nie doprowadziła mnie do ataku serca.

Ostrzej niż w boksie

Do wyboru miałem dwie transmisje telewizyjne. W tym samym czasie Iga Świątek grała w półfinale turnieju w Cincinnati z najgroźniejszą rywalką Aryną Sabalenką, a Kasia Niewiadoma podczas ostatniego, alpejskiego etapu Tour de France broniła żółtej koszulki przed najgroźniejszymi rywalkami: Holenderką Demi Vollering i jej rodaczką Paulieną Rooijackers, które wyprzedzała o niewiele ponad minutę. Oczywiście wybrałem oglądanie kolarstwa.

Tym, którzy zdecydowali się na turniej w Cincinnati, opowiem krótko o tym, co się działo w Tour de France. Podczas morderczego podjazdu Glandon, Vollering zaatakowała, a jej tempo zdołała utrzymać tylko Rooijackers. Kasia Niewiadoma odpadła z czołówki i jak sama później mówiła, w jej głowie zaświtała myśl, że jest już po wszystkim. Też tak pomyślałem.

Po podjeździe był oczywiście zjazd. Tam nasza bohaterka dużo piła, jadła odżywcze batony i wróciły jej siły. Na finałowym podjeździe do Alpe d'Huez rzuciła się w pogoń za uciekinierkami. Przez blisko godzinę czasem się do nich zbliżała, czasem oddalała. Wiadomo było, że decydować będą sekundy. Była to brutalna walka, ostrzejsza, niż to się zdarza na bokserskich ringach.

Po przekroczeniu linii mety Kasia Niewiadoma spadła z roweru na asfalt (nie tylko ona) i dopiero po chwili dotarło do niej, że wygrała Tour de France, wyprzedzając Vollering o 4 sek. Jeszcze nigdy ani w kobiecym, ani w męskim wyścigu dookoła Francji różnica między zwycięzcą, a drugim na mecie nie była tak mała.

Zwycięstwo Kasi Niewiadomej wpisało się w piękną serię polskich sportsmenek. Czy trzeba przypominać, że spośród dziesięciu medali, jakie polscy zawodnicy zdobyli podczas igrzysk olimpijskich w Paryżu, aż osiem zawisło na szyjach zawodniczek? Jedyny złoty medal przywiozła Aleksandra Mirosław, która wygrała nową olimpijską konkurencję – wspinaczkę na czas.

Kobiety górą!

Skąd się biorą sukcesy zawodniczek tak jaskrawo odróżniające je od zawodników? Mam swoją teorię, ale sam czuję, że jest ona nieco bałamutna. Nie tylko ja, wszyscy jako tako znający się na sporcie, a nieulegający politycznej demagogii, wiedzą, że polski sport wyczynowy działa bez konkretnego systemu. Żeby sięgać po sukces, trzeba mieć zdeterminowanych rodziców, dużo szczęścia, aby trafić na fachowych ludzi, a przede wszystkim mocny charakter. I tu właśnie rodzi się moja ryzykowna teoria. Kobiety częściej od mężczyzn sięgają po sukcesy, bo prędzej potrafią połączyć się w całym tym galimatiasie i po prostu jeśli postawią sobie jakiś cel,

idą do niego z determinacją, nie oglądając się na nic. Tego właśnie chłopcom i mężczyznom czasem brakuje. Oni – owszem – chcieliby pracować, ale ktoś musi dla nich zorganizować warunki do tej pracy. Jeszcze raz powtórzę: sam nie wiem, czy moja teoria jest słuszna, ale może choć ziarenko prawdy w niej jest.

Iga Świątek często dziękuje ojcu, byłemu olimpijczykowi, za to, że pomógł jej wspiąć się na szczyt tenisowego Olimpu. Jej matka chyba w jedynym prasowym wywiadzie, jakiego udzieliła, zaznaczyła, że ona też zawsze stała przy córce. Konkretnie: stała przy dentystycznym fotelu i zarabiała na potrzeby młodzieżowej zawodniczki, która sama jeszcze nie zgarniała nagród, a wręcz przeciwnie – jej tenisowe treningi i starty wymagały dużych nakładów. Magnesem dla Igi była rywalizacja ze starszą siostrą, która chciała zostać zawodową tenisistką, lecz jej plany pokrzyżowała kontuzja. Dziś nasza gwiazda jest bardzo zamożną osobą, ale nikt nie powie, że do tego wszystkiego doszła dzięki jakiemuś zorganizowanemu systemowi, w jakim funkcjonuje nasz sport.

Jedyną naszą złotą medalistką olimpijską Aleksandrę Mirosław wspiera sztab ludzi. Tyle, że wszystko zbudowała ona wraz ze swoim mężem i trenerem. Czasem żartowała, że jeśli – odpukać – w Paryżu pośliznę się jej noga na ścianie, jednym niefortunnym ruchem zwolnią z roboty nie tylko męża, ale także cały pomagający jej sztab. Wszystko w niemal dosłownym znaczeniu tego słowa trzymało się na zawodnicze. Tu także nie zadziałał żaden ministerialny czy też związkowy system.

Polskie szpadzistki, brązowe medalistki z Paryża, są prawdziwymi amatorkami. Normalnie pracują, a na turniej pojechały, bo wzięły urlopy w miejscu zatrudnienia. Aleksandra Jarecka, ta, która podczas dramatycznego pojedynku Polek z drużyną Chin – zakończonego jej celnym trafieniem w doliczonym czasie – zachwyciła polskich kibiców, pracowała zdalnie w kancelarii prawniczej, nawet będąc już w Paryżu. Martyna Swatowska-Wenglarczyk jest fizjoterapeutką dziecięcą i małych pacjentów przyjmowała niemal do ostatniego dnia przed wyjazdem na igrzyska. Niektóre szpadzistki studiują i nie mają żadnych ulg na uczelniach.

Niby powinno tak być. Chociaż baron Pierre de Coubertin, twórca nowożytnych igrzysk, chciał, aby w tej imprezie startowali amatorzy, ale od jego epoki wszystko się zmieniło. Już przyzwyczailiśmy się, że wyczynowy sportowiec to zawodnik.

Bolący sport

Kolarstwo kobiece w Polsce jest jeszcze taką pół-amatorską dyscypliną. Zarabia się grosze albo nawet nic. Dla wielu dziewcząt stanowi przede wszystkim hobby, realizację pasji. Lubią jeździć na rowerze i lubią się ścigać. Tak zaczynała młodzieńca Kasia. Wiele osób (w tym pierwszy trener Niewiadomej Zbigniew Klęk) twierdziło, że nie jest to zajęcie dla kobiet.

Czy kolarstwo wyczynowe jest zajęciem dla kobiet? Początkowo miałem wątpliwości. Prawdopodobnie jest najbardziej wyczerpującym sportem spośród wszystkich, pomijając może jakieś ekstremalne maratony. Niezapomniany Stanisław Szoz-



da powtarzał często: *W kolarstwie trzeba dać z siebie wszystko i coś jeszcze, a kto da więcej tego „czegoś jeszcze”, ten wygrywa.*

Kolarstwo, o czym nieczęsto się mówi, łączy się z piekielnym bólem. W którymś z wywiadów Kasia Niewiadoma opisała swój typowy trening i dodała, że towarzyszący mu ból pozwala jej wierzyć, że im więcej go zniesie, tym mniej poczuje podczas ścigania. Czy na pewno nie czuła go, wspinając się na Alpe d'Huez? Przecież ona nawet nie wiedziała, że przez dwa ostatnie kilometry podjazdu biegł obok niej mąż, były świetny amerykański kolarz Taylor Phinney. Była półprzytomna.

Kolarstwo jest też jednym z najniebezpieczniejszych sportów, dużo niebezpieczniejszym niż jazda na żuźlu. Żuźłowców chronią stroje, kaski, od pewnego czasu nadmuchiwane bandy na łukach. Kolarzy, poza wątlą osłoną głowy, nie chroni nic. A zakręty pokonują z porównywalną prędkością.

Kolarzy i żuźłowców łączy liczba połamanych obojczyków i żeber. Dwukrotny mistrz olimpijski z Paryża Belg Remco Evenepoel miał już odnę płucną po upadku z wiaduktu i wiele licznych złamań. Co roku giną kolarze; gdy trenują, nikt nie zamyka normalnego ruchu ani nie zabezpiecza trudnych fragmentów szosy. Dlatego właśnie nie byłam pewien, czy jest to sport odpowiedni dla młodych kobiet.

Zwycięczyni Tour de France ma oczywistą odpowiedź na takie pytanie. Kolarstwo to jej pasja,

a takiej radości, jaka była jej udziałem po wygraniu Tour de France, życzy każdemu człowiekowi, który ma jakąś pasję. W ogóle Kasia mówi pięknie. Warto posłuchać nie tylko tego, co mówi, ale także jak mówi. Zdania są ładnie skonstruowane, zawsze jest w nich podmiot i orzeczenie, o czym zdaje się zapominać wiele osób wypowiadających się w telewizji. Oczywiście mówi tak i po polsku, i po angielsku, być może także po hiszpańsku, bo razem z mężem mieszkają w tym kraju. To dodatkowy powód, aby głosować na Kasię Niewiadomą w plebiscycie „Przeglądu Sportowego”.

Wyjeżdżajcie z Polski

Czy kobiety na kolarstwie mogą się dorobić? Na pewno za takie pieniądze, jakie zarabiała, przeciętnemu futbolście nie chciałoby się zdjąć spodni w szatni. Ale wszystko się zmienia. Dziś połowa kobiecego peletonu dzięki kontraktom z zawodowymi grupami może żyć na przyzwoitym poziomie. Oczywiście nie w Polsce.

Kasia Niewiadoma przyznała, że jej pierwszy kontrakt stażystki w zawodowej grupie Rabobank opiewał na 500 euro, co i tak wydawało się jej wówczas dużą sumą. Teraz dziewczyny wkraczające do zawodowstwa mogą liczyć na 45 tys. euro. O swoich obecnych zarobkach (już liderki grupy) Kasia nie mówi, to są kwestie zastrzeżone. Wiadomo, że nagroda za wygranie Tour de France nie powala: 50 tys. euro. W kolarstwie (męskim także) podstawą zarobków nie są jednak nagrody, a kontrakty z grupami zawodowymi. Zwycięczyni Tour de France może oczywiście liczyć na bardzo wysoki kontrakt, tyle że Niewiadoma związała się ze swoją obecną grupą Canyon SRAM Racing na kolejne dwa lata... tuż przed Tour de France.

Równouprawnienia w sporcie nie ma, a w kolarstwie ten problem jest jeszcze bardziej jaskrawy. Mężczyzna gwiazdorskiego formatu naszej Kasi może liczyć na kilka milio-

nów dolarów za sezon. Zwycięzca tegorocznego Tour de Pologne, wcześniej dwukrotnie najlepszy w Tour de France, Duńczyk Jonas Vingegaard, dziś o pieniądze nie musi się martwić – jest milionerem. Podczas pierwszego pobytu w Polsce w 2019 r. wygrał etap Tour de Pologne prowadzący z Zakopanego do Kościeliska. Był wówczas stażystą w zawodowej grupie Visma. Kontrakt był tak niski, że nie wystarczał mu na utrzymanie. Musiał dorabiać jako sprzedawca ryb.

Srebrna medalistka w kolarstwie torowym Daria Pikulik pozbawiona była finansowego wsparcia podczas przygotowań do igrzysk. Trenowała za swoje, a musiała się przestawić z jazdy na szosie na wyścigi torowe (wcześniej przeszła z toru na szosę, a takich zmian nie dokonuje się w tydzień, przynajmniej na najwyższym poziomie). Zdaje się, że w końcu zwrócono jej pieniądze za zgrupowania, ale najpierw musiała je mieć, żeby z własnej kieszeni założyć za związek kolarski. Na szczęście miała, bo z dumą podkreśla, że jako zawodniczka zawodowej amerykańskiej grupy Human Powered Health zarabia tyle, że nigdy o takich pieniądzach nawet nie marzyła. Wcale się nie dziwię. Ścigając się w Polsce, nie mogła mieć żadnych marzeń. Kasia też radzi dziewczynom, które chcą się poważnie ścigać na rowerze: *wyjeżdżajcie z Polski!*

Trzeba wspomnieć, że Daria Pikulik dzień po wywalczeniu srebrnego medalu olimpijskiego startowała już w Tour de France i podczas pierwszego etapu zajęła szóste miejsce. To także duży wyczyn.

Ze sportem związany jestem przez większość życia. Najpierw krótko jako nieudany zawodnik, a później w roli dziennikarza sportowego. Kocham sport, choć z czasem coraz więcej mnie do niego zraża. Poszły w zapomnienie wszystkie towarzyszące mu szczytne ideały. Zostało tylko widowisko dla mas i źródło dochodu dla wyczynowców, działaczy oraz menedżerów. Acha, jeszcze powód do wypinania piersi przez polityków.

Zauważyłem, że coraz częściej bez towarzyszących mi kiedyś emocji oglądam w telewizji zawody. Zacząłem kłaść wszystko na karb wielku: ot, typowy zgorzkniały staruszek. Po obejrzeniu finału kobiecego Tour de France powróciły dawne emocje.

Dziękuję, Kasiu. Sorry... dziękuję, pani Katarzyno!

WOJCIECH MITTELSTAEDT
wojciech.mittelstaedt@interia.pl



SATYRYCZNY TYGODNIK POLITYCZNY

Jerzy Urban – honorowy redaktor naczelny
Agnieszka Wolk-Laniewska – redaktor naczelny
Edyta Baker – sekretarz redakcji
Krzysztof Olejnik, Paweł Krokodyl Ferenc – grafika, DTP
Katarzyna Szajowska – korekta
Autorzy:
Przemysław Ćwikliński, Idalia Dubicka, Piotr Gadzinowski, Robert Jaruga, Tadeusz Jasiński, Michał Marszał, Marta Miecińska, Wojciech Mittelstaedt, Łukasz Piotrowicz, Marek Sadowski, Anna Skibniewska, Izabela Szolc, Maciej Wiśniowski

Oraz profesorowie:
Jan Hartman, Joanna Senyszyn, Andrzej Werblan

WYDAWCA: „URMA” Sp. z o.o.

ADRES redakcji i wydawcy:
00-680 Warszawa, ul. Poznańska 3 lok. 9,
tel.: 22 848 84 48, 22 848 44 20, 22 848 96 68;
tel./fax 22 849 72 47 i 22 849 72 58

DZIAŁ HANDLOWY: 22 849 59 38

INTERNET
www.tygodniknie.pl – także prenumerata internetowa
E-MAIL: NIE@redakcja.nie.com.pl

Materiałów niezamówionych (tekstów, zdjęć, dokumentów) redakcja nie zwraca.
Zastrzegamy sobie prawo skracania i adiustacji tekstów oraz listów. Tytuły i śródtytuły wszystkich zamieszczanych tekstów pochodzą od redakcji.
Za treść ogłoszeń reklamowych redakcja nie odpowiada.

DRUK:
Drukarnia Prasowa S.A., Łódź,
e-mail: sekretariat@dpsa.com.pl

Sprzedaż elektroniczna:
www.eGazety.pl, www.e-kiosk.pl,
www.eprasa.pl, www.nexto.pl

Numer zamknięto:
str. 1-16 – 28.08.2024 r.

SŁÓWKA POŁGŁÓWKA

Morawiecki był niezły z geografii politycznej: znał kraje, z którymi Polska nie ma umowy o ekstradycji. Teraz zastanawiał się pochylony nad otwartą walizką: Belize czy Panama? A może Honduras?

Był też niezły z geografii ekonomicznej – miał rachunki na hasło w bankach na Kajmanach i Bahamach, a bank w Republice Palau czekał tylko na kod potwierdzający przelew.

Zamknął walizkę, w celu zmylenia pogoni założył bluzę z napisem „Red is good” i naciągnął kaptur. Już miał zamówić ubiera na lotnisko, gdy zadzwoniła wyszczona komórka.

Kuczmierowski... – domyślił się Morawiecki.

Ale to nie był Kuczmierowski. Ani Szopa. Dzwonił Błaszczak.

Morawiecki zawahał się, lecz odebrał. – Spakowałeś się? – zapytał Błaszczak.

– Tak.

– Jedziesz na lotnisko?

– Zaraz.

– Fidy czy Dominikana?

– Jeszcze nie wiem.

Błaszczak zamilkł, szukając właściwych słów.

– Jot chce, żebyś został – powiedział wreszcie. – Nie zostawi cię na pastwę bandy Tuska.

– Jot dziś mówi jedno, a jutro powie drugie i będę ugotowany – odparł Morawiecki. – Nie pójdę do pudła.

– Jot mówi, że nie dojdzie do tego. A nawet jeśli dojdzie, to De cię ulaskawi.

– Chyba A...

– Co a?

– A, a nie De. Trzeba być konsekwentnym w używaniu inicjałów: albo imion, albo nazwisk. De nie zdąży mnie ulaskawić, bo bodnarowcy nie zdążą mnie skazać.

– Jot mówi, że jeżeli De nie zdąży cię ulaskawić, to nawet jeszcze lepiej, bo zostaniesz męczennikiem, a partia potrzebuje męczenników. Moc mitu smoleńskiego słabnie. Staniemy za tobą murem.

– Za Em nie stanęliście – jęknął Morawiecki. – Ani za Pe.

– Kim oni są? Em i Pe?

– Właśnie... Nawet nie wiecie, kim są... Em to Michał, a Pe to Paweł. Czeka na listy żelazne.

– Wiesz, ilu ja znam Michałów i Pawłów, którym by się przydały takie listy?

Morawiecki nie odpowiedział. Wyobraził sobie, że wyłącza komórkę, a potem obrzuca Błaszczaka najgorszymi wyzwiskami.

– No dobra... – powiedział zamiast tego. – To co mam robić?

PRZEMYSŁAW CÍWKLIŃSKI

Dialogi dam,

AGNIESZKA WOŁK-ŁANIEWSKA przejęła się rolą.

JOANNA SENYSZYN przygląda się jej z lekkim rozbawieniem.

Wołk-Łaniewska: – Po pierwsze, jestem winna wyjaśnienie.

Senyszyn: – Mnie?

– Nie, Czytelnikom.

– To dlaczego w naszych dialogach?

– Bo wszyscy czytają.

– To dawaj.

– Usłyszałam kilka głosów, że łżę. Bo napisałam w manifestcie w poprzednim numerze, że tygodnik „NIE” od początku swojego istnienia jest wolny od reklam, a tymczasem ci ze słoniową pamięcią pamiętają, że jakieś były...

– Ja też pamiętam.

– No więc wyjaśniam: nie były to reklamy per se, tylko ogłoszenia, głównie kurew...

– Seksłorkerek.

– Sorry, seksłorkerek realnych i telefonicznych, gadżetów erotycznych, podsluchów do inwigilacji żon oraz mężów, a także rozmaitej broni dostępnej bez licencji. Urban drukował je dla draki, taki jego przejaw anarchizmu i mieszanina w katolickim kotle. Słowo rewolucjonisty: nie żyliśmy z tej garstki ogłoszeń. Dochody z nich nie miały wpływu na status finansowy tygodnika, który sprzedawał 700 tys. egzemplarzy tygodniowo.

– W to akurat wierzę.

– No dobrze, to skoro to jest wyjaśnione, to przejdźmy do poważnych tematów. Premier Tusk orzekł, że w obecnej kadencji nie będzie większości dla – tu cytat – *aborcji legalnej w pełnym tego słowa znaczeniu*. Zaimponował mi spostrzegawczością. Choć skłaniam się do opinii tych komentatorów, którzy mówią, że za odpowiednią opłatą – w stanowiskach bądź koncesjach dla wsi – PSL byłby skłonny złagodzić swoje twarde stanowisko w obronie poczętych. Może aborcja nie byłaby *legalna w pełnym tego słowa znaczeniu*, ale nawet trochę legalna byłaby lepsza niż teraz... Choć z drugiej strony – czytałam w twoim felietonie w „Faktach po Mitach”, że Kosiniakowi marzy się święta ciotka...

– Krakowskie gołębie gruchają, że rodzina Kosiniaków-Kamyszów jest zdeterminowana, żeby mieć w rodzinie świętą, a choćby tylko błogosławioną, więc żadnych ustępstw nie będzie: ani zgody na aborcję, ani na pełnoprawne związki partnerskie, ani na likwidację Funduszu Kościelnego, ani na ruszenie niczego, co Kościoła kat. jest.

– To teraz już rozumiem, skąd mu się urodziło to nieszczęsne „wychowanie patriotyczne”. Będzie na nim uczył, że tylko pod krzyżem, tyl-

ko pod tym znakiem Polska jest Polską, a Polak Polakiem...

– Bardzo możliwe. Katolickich fundamentalistów nie brakuje zresztą i w PO. Wprawdzie za stołki pewnie trzymaliby się partyjnej dyscypliny, ale po tym, co Tusk powiedział, nie będzie już „sprawdzam”. Zauważyłaś, że coraz bardziej jedziemy na rząd? Skończyła się taryfa ulgowa. Dałyśmy mu ponad osiem miesięcy kredytu zaufania...

– Kto dał, to dał. Ja im nie ufam od początku...

– Dobrze: ja dałam. Osiem, a w zasadzie 10, bo od wyborów wiedzieli, że będą rządzić. Jednym słowem, przenoszona ciąża. Teraz na gwałt potrzebne już cesarskie cięcie, żeby z dziecka coś było. Dlatego też nasz komiks, który jest obok, to już nie będą „Przygody Jarka niezdarka”, ale „Przygody Donka dzwonka”.

– Chyba że ktoś ma ciekawszy pomysł.

– W odróżnieniu od rządu lubimy społeczne konsultacje i do nich zachęcamy. Powiedzenie Sło-



nimskiego nie lubię wymiany poglądów, bo zawsze na tym tracę nie dotyczy ani nas nawzajem, bo z Wołkiem uwielbiamy toczyć nocne Polaków rozmowy, ani naszych kochanych Czytelników.

– W życiu!

– Czekamy zatem na propozycję, choć nie obiecujemy, że skorzystamy, bo „Donek dzwonek” bardzo nam przypadł do gustu. Wszak dzwoni się na 112, jak jest zagrożenie. A wbrew pozorom wciąż PiS-owi nie spada tak, jak powinno po ujawnieniu tylu afer i zwyczajnego złodziejstwa, Konfederacji rośnie, a koalicja KO-3D-czarzaści straciła w stosunku do jesiennych wyborów ponad 5,7 mln wyborców.

z których obie żyją



– Dziwisz się? Przecież oni robią zwolnienia grupowe. W państwowych firmach! Najpierw w PKP Cargo, teraz na poczcie. Czy ich kompletnie pogrzało? Ja wiem, że biznes lubi, jak się zwalnia ludzi, bo wtedy siła robocza jest zdesperowana, a zatem tania – ale, do kurwy nędzy, od biznesu to oni mogliby prowdzić dostać, a nie władzę w kraju.

– I przed tymi zwolnieniami byli obywatele rozczarowani obecną władzą, którzy w wyborach do PE pokazali, gdzie mają sejmową większość i rządzących. Władza przeknęła to nad podziw łatwo, bo była w euforii, że PO pod szyldem KO wygrała z PiS o pisi kłak (0,7 proc.) i ma jednego (!) europosła więcej. W liczbach bezwzględnych to zaledwie 106 tys. głosów przewagi. A przecież wyborcy PO są zdecydowanie bardziej zainteresowani UE niż wyborcy PiS. To oznacza, że gdyby wybory były w czerwcu, wynik koalicji 15 października byłby dużo gorszy. W PE koalicja ma 27 europosłów na 53, czyli 50,9 proc. Gdyby to przeliczyć na posłów, miałaby zaledwie 234. Jeszcze większość, ale że niektórzy nie zawsze głosują w ogóle lub jak trzeba, to nie byłoby wesoło. Teraz też nie jest, ale udają, że jest. A my śpiewamy piosenkę z naszego ukochanego Kabareciku Olgi Lipińskiej...

– Pozdrawiając Olę najserdeczniej przy okazji...

– Oczywiście. *Cóż, że ciężko się przedzie, będzie lepiej, bo będzie i już...*

– I jeszcze mam taki ulubiony cytat o niezadowolonych bliźnich i wpływanu na ich nastroje: *patrzy skośnie, broda mu rośnie i nic mu się nie podoba, więc wziął młotek i klin, i mu z głowy wybił klin klinem: szczypota wigoru, szczypota humoru to taka prosta rzecz...*

– To inna piosenka.

– Ale tak mi się skojarzyła.

– To mnie jeszcze: *Pij, pij, pij, bracie pij, na starość torba i kij, pij, pij na krzywy ryj...* Przy takim wzroście kosztów utrzymania to faktycznie na krzywy ryj.

– E tam, mam kilku zamożnych przyjaciół, z tobą na czele, to mi postawią.

– To jest właśnie definicja pojęcia *na krzywy ryj*...

– A wiesz, że o tym nie pomyślałam? Zmienając temat: mówiłam, że jestem zakochana w Kamali?

– Kilka razy. A mnie coraz bardziej podoba się Tim Waltz.

– To prawda, on ma w sobie nieodparty wdzięk zwyczajności.

– To się wzięło z tego, że doskonale piękne gwiazdy amerykańskiego kina budziły kompleksy u amerykańskich obywateli. Do tego stopnia, że zaczynało to być problemem społecznym. I wtedy wymyślono, że gwiazdami mają być chłopak i dziewczyna z sąsiedztwa. Dustin Hoffman, co ma 1,67 m i panna z przyszciami i bez biustu. I taki właśnie jest Tim Waltz: Amerykanin z krwi i kości...

– Co niekoniecznie jest zaletą. Pamiętam genialny cytat z Vonneguta, bodaj z „Galapagos”: o żonie dyplomaty, która złała mężowi karierę, bo w jakiejś rozmowie przyznała, iż rozumie, że można nie być Amerykaninem i być z tego dumnym...

– I nadal w USA może to komuś złać karierę. Ale Waltz nigdy by czegoś takiego nie powiedział. Swoją drogą: od razu wiedziałam, że to on będzie kandydatem. On dobrze uzupełnia Kamalę: ona jest intelektualna, ma błyskotliwy dowcip, a on jest takim amerykańskim peeselowcem – którego to określenia wyjątkowo używam w znaczeniu pozytywnym. Jest cudowny przez swoją zwyczajność...

– CNN donosił, że w rozmowie kwalifikacyjnej zrobił świetne wrażenie, bo zapytał, jak może pomóc. A nie, jak Josh Shapiro, gubernator Pensylwanii, jakie będą jego kompetencje i o czym będzie decydował jako wiceprezydent...

– Już był w ogródku, już witał się z gąską.

– Gąska okazała berniklą.

– A co to?

– Gęś czarna. Twardzielka, słabo udomowiona.

– Wypisz wymaluj Kamalę.

senyszyn@wp.pl
wołklaniewska@wp.pl

PRZYGODY JARKA NIEZDARKA ODC. 312



Rys. RYSZARD DĄBROWSKI